

Wiadomości Polskie

POLITYCZNE I LITERACKIE TYGODNIK • THE POLISH NEWS

JÓZEF RUDNICKI

ROK 1918 W E L W O W I E

Snucie wspomnień kryje w sobie pewnie niebezpieczeństwo, chociaż jest bez wątpienia zajęciem przyjemnym. Wspomnienie oddaje się zazwyczaj ludziom znużonym, biernym, cierpiącym pod ciśnieniem bieżącej rzeczywistości, która jest niedobra, pełna rozterek i zawodów i spiętrzenia trudności.

Zwłaszcza przed nami, tułaczami, rozrzuconymi po ziemi jak duża, szeroka i okrągła, to niebezpieczeństwo wspomnień, odwracających nas myślą ku przeszłości, wyrastających w chwili obecnej szczególnie ostro i niepokojąco. Szukamy ulgi i ukojenia w ucieczce do dawności, w której przeżyliśmy, stając się pomatami w świat przemieniających się.

Mysle jednak, że wspomnienie miasta mojego sprzed czterech lat wcale nie jest do tego niebezpieczeństwa, rozbrajającego wolę życia i kształtowania rzeczywistości. Przeciwnie. Jestem pewny, że wspomnienie tego tryska źródła siły, z którego można dziś właśnie czerpać bez miary absolutną wiarę w zwyciężenie czasów trudnych. Sam wiele zawiązywałem mocy tego osobliwego w sobie twórczym działaniu wspomnienia. Radłbym przeto odtworzyć wizerunek tego roku lwowskiego, o którym zaprawdę powtórzę wolno słowa Mickiewicza, że był to rok dziwnych przeżyć, jak przed światła końcem, rok pełen oczekiwań i nadziei, radości i obłędu, obłędu w zdarzenia i nadziei brzemienia.

Gdy myślę o Lwowie tamtego roku, muszę powiedzieć, że ponad niewystępową urodą naturalną tego miasta, ponad dziejami jego żołnierskiej fantazji i męstwa, tylekroć opiewanego i wskazywanego za arcydzieło całej Rzeczypospolitej — skupiam uwagę na sprawie nieskończenie skromniejszej i wcale nie patetycznej. Jest to sprawa osobliwa, tajemnicza i swojszczyzna tego miasta.

Nie chyba lepiej nie uprzytomni tej właściwości Lwowa, niż obrazek z powszedniej prozy życia.

Widzę więc autora „Genealogii Piastów”, jak odhyla codziennie swoją, od lat kilkunastuśmiętną, do konspiracyjnego archiwum bernardynskiego. Idzie drogą zawsze tą samą: Zyblikiewicza, skłera na Pańską (później Piłsudskiego) i stąd nagle bezładnie przy Bazarze Krajowym koło szerokiej w tem miejscu jezdni naprzeciw Bernardynów. Oswald Balzer powłóczy krzywą nogą, na przetypony słuch — waha się i rozgląda dookoła. I wtedy nadjeżdżający z ul. Czarnieckiej tramwaj — przystaje przy Balzerze, chociaż w miejscu tem niema przystanku. Motorowy — jak się mówi we Lwowie — wysiada, podchodzi do Balzera, i bierze go pod ramię. Z drugiej strony czyni to samo przelupka, która podchodzi na chłodzie swojej ciemności. Prowadzą go przez jezdnię, autor „Historji ustroju Polski” zryma się i perswadyje, że on sam przebiega do siebie rade.

— Ta panie przyrośniesz — wrzeszczy mu do ucha przelupka, — ta bój się pan Boga, jeszcze pana fiaker najdzie...

Wymyślił ślomie, Medycuszu znanienity, Jan Gualbert Pawlikowski, poczynił sobie inne. Ten, chociaż bardzo ciemności miał na oczach, żył w nie zachodzącym nigdy słońcu mistyki, o której dzieło przygotowywał, nosząc w tecze „Genezis z Ducha”. Chodził śmiało po ulicach miasta, jak po pokoju własnego domu. I znowu wtarzała się ta sama historia. Fiakry, tramwaje, taksówki przystawały, bo — wiadomo — idzie „św. Jan Gualbert”, jak go nazywali bacciarze lwowskie, który z nabożeństwem pokazywał sobie starca, uchodzącego w ich oczach za wieść mądrości lwowskiej.

Możnaby na taśmę tego filmu lwowskiego pokazać szereg innych, jeszcze obrazków. Nie można np. przemilczeć tego widoku, jakie Lwów zademonstrował 25 lat temu, dn. 22 listopada 1918 r. Był to ranełk już mroźny i najszybszy słowaczki. Słynni abrahamscy wytykali właśnie na ratusz standard amantów, na ulicach jeszcze od czasu do czasu odzywała się palba karabinów, obrońcy Lwowa, po 22 dniach strzelaniny, bezsenne nocy, głodowania i wojowania, rozchodzili się najniefortunniej pod domach, zostawiając miasto na łaskę Opatrzności. Pod pomnikiem Mickiewicza zebrał się olbrzymi tłum, dzieci, staruski, kanonicy z pobliskiej katedry, panisze lwowskie — a wśród nich bohaterowie dnia, najdziwniejsze wojko na świecie: petaki kilkunastoletnie i starcy, akademicy i robotnicy, oficerowie w mundurach austriackich, ex-legionści, dziesięć w helmach i ze szablami „Werndami” na ramieniu, urzędnicy ze szpadami honorowymi u boku i najdziwniejsze typy spod niebztu jasnej gwiazdy. Dziesiątki mówców zdawało sprawę wszystkim — kto chciał i nie chciał słuchać — z przetychych dni 22. Z kamienie powynoszono stary, stare samowary, szące prymusy, jakieś ocalsze zapasy, kanonicy taszczyli pod pachą pękate flaszki z kapitułnych piwkiecz. Rozpusta, pijatka — Jezus Maria! Nadjeżdża srogi oficer i przerażony widownią, wola co tuhu w piersiach: — Zbiórka, do szeregu! — Panią generale, — obstepują go panisze, — niech się pan nie irytuje, ludzie są zmęczone, naharowali się. Ta daj się pan ludziom napić kawy przynajmniej, wojna nie ucieknie.

Zamiast kawy, podają jednak oficerowi szklankę tegoż alkoholu. Oficer kapitułuje i ze szklanką w ręku zaczyna wygłaszać płomienną mowę, wpatrzony w ciemność Mickiewicza.

Widzę we Lwowie jeden wielki wspólny dom. Tym domem jest zarówno ulica, pl. Akademicki czy pl. Marjański, jak kosiółki, uniwersytet, politechnika, lokale niezliczonych towarzyszy, jak wreszcie legendarny omentarz lyczakowski, ogrody, parki i lasy podmiejskie. To wszystko jest dom jeden, wspólnie mieszkające, w którym ludzie żyją społecznie, a społeczność tego życia ma cechę jakiejś niepowtarzalnej gdzieś indziej intymności, zżytości i przenikania wzajemnego. Ws są wszyscy znają na wylot i wszystko o wszystkich wiedzą. Z tej

znajomości wyrasta swoisty typ porozumienia i zrozumienia dążeń, które wśród różnorodności nawastrzeń społecznych, ryło odnajdują się w jednej soczewce skupiającej i stają się tak wspólne, tak solidarne, że aż zazdrosne o ten dziwny rodzaj wspólnoty. Myślę, że ta osobliwa postać swojszczyzny lwowskiej jest funkcją dziełactwa, przekazywanego przez pokolenia. Takim domem miasta było już w w. XVI i XVII. Lwowska, gdy tylko miejskie rozporządzenia wygłaszały na miast, Lwowa aby grać z armat do pohodów, takim domem było w w. XIX. Ossolineum, Karmelici, Górni Strzeżenie, konie Union Lubelskiej, czy podkocia i Dzienniki Mod, z której krawiec Kulczycki proklamował wiosnę ludów we Lwowie.

W r. 1918 rolę gospodarzy i wodzirejów w tym wielkim domu objęła młodzież. Był to we Lwowie okres zdecydowany pafidokracji. Nie było to zresztą jakiejś szczególnej nowiny. Kto żył i brał udział w życiu publicznym Lwowa w pierwszej dekadzie obecnego stulecia, ten pamięta, jaki przemocy wpływ wywierało młode pokolenie na rozwój i kształtowanie się życia politycznego i społecznego we Lwowie i w ogóle Ziemi Czerwieskiej. Otoczona nimem prymat duchowego i wspaniała tradycja półwiekowej pracy umysłowo-społecznej Czytelni Akademickiej, socjalistyczne skupisko młodych w t.zw. „Zyciu”, niepodległościowo-zarzewia „Kuznica”, awangardowa w całej Polsce instytucja oświatowa Akademickie Koło Tow. Szkoły Ludowej, obsługujące niezliczoną ilość czytelników i domów ludowych na terenie t.zw. Galicji, związki i drużyny strzeleckie i sokole, tajne harcerstwo, wszystko to było zdumiewającą żywotną i dynamiczną ośrodką ideowej pracy młodzieży, wyprzedzającej swe poglądy na masowych wiecach i w licznych periodykach, jak „Tęcza”, „Promień”, „Zarzewie”, które stanowiły i zawsze stanowią będącą chlubą polskiego czasopiśmiennictwa ideowo-politycznego.

Ale rok 1918 we Lwowie stanowił nie tylko pliwie pod tym względem rekord osoby, i uzyskał palmę pierwszeństwa. Np.raz słyszy się, że zmora polskiego życia są zabrania. Polacy muszą się ciągle zbierać, odbywać zebrania. Tak, ale wtedy, w m. roku 1918 we Lwowie, to była istna obława. Było w tem coś tajemniczego i niebyle domniósł, co nas z mieszkajacych, z sal wykładowych, z seminarjów uniwersyteckich czy pracowni politechnicznych głoło na te masowe czy poufne zebrania, wiece, konferencje, spotkania i demonstracje. Musimy być ciągle razem, aby mówić do siebie, aby przekazywać innym, aby uświadamiać wszystkich. Największe sale publiczne były co dnia szczelnie wypełnione, Mickiewicz na pl. Marjańskim czy Ordłon na ementarze, ustawicznie gromadził u swych stóp nieprzebrane tłumy mieszkańców miasta, którym młodociani trybuni grzmiącym głosem wykładali powagę i przełom idących czasów.

Pamiętam, jak gorzki był ten pafidokracji surowy rektor uniwersytetu, twórca polskiej nowoczesnej szkoły filozoficznej, Kazimierz Twardowski. Ale gdy po latach odwiedzałem tego znakomitego uczonoego i obywatela, pochylonego chorobą nad własną mogiłą, zwierzał mi się, wzruszony wspomnieniem, że w istocie doznawał w owych mieszkaniach rządów młodzieży uczucia dumy i rozumiął, że tak właśnie wtedy być musiało i że dobrze było, iż tak właśnie było.

Dlatego tak właśnie być musiało i dlatego było dobrze, iż tak właśnie było?

Był to okres przełomu, podejmowania decyzji, które na cale okresy historyczne określały kształt i mapę przyszłej Polski, które miały przesądzać, czy i jaka Polska wyjdzie ze zbliżającego się do swego końca — zamętu i burzy wojennej. Po Lwowie maszerowały stacjonowane w nim, butne jeszcze ciagle, oddziały wojsk niemieckich. W lutym t.r. podpisano osławiony pokój brzeski, który wyszarpywał z żywego ciała Polski Chełmszczyznę i rzucał złowrogie cienie na przyszłość Ziemi Czerwieskiej. Polscy przywódcy polityczni w b. zabore austriackim, Koło Polskie w Wiedniu, zajmowało stanowisko, z punktu widzenia narodowego, poprawne. Protestowało, pisało memorjały do rządu austriackiego, w spotkaniach z austriackim ministrem spraw zagranicznych wysuwało postulaty polityczne, starało się osłabić niebezpieczeństwo, grożące Lwowowi. Ale sytuacja tych polskich czynników oficjalnych nie była łatwa. Różnymi kanałami sączyły się naciski, grała intryga dworskiej i rządowej kamaryli austriackiej, zmierzająca do złamania niezłomnej postawy polskiej. Zresztą i wśród samych tych polskich czynników była różna skala energii i charakteru, przeciwdziałającego się na porowoty tego niebezpiecznego ciśnienia. Właśnie w dniach zawierania pokoju brzeskiego zebrał się we Lwowie zjazd przedstawicieli starszego pokolenia, który wkładał je w łameńskie kompromisy, szukał wyjścia w t.zw. austro-polskim rozwiązaniu i koronował

te koncepcje groteskowem proklamowaniem arcyksięcia Stefana Habsburga z Żywo jako kandydata na przyszłego króla polskiego. Pamiętam, że w tym dniu sfurmowały olbrzymi pochód, który otoczył wielebny ratusz lwowski na Rynek. W tym pochodzie byli wszyscy: młodzieży, kobiety, starzy, cały żywy polski Lwów. Delegacja manifestantów weszła do ratusza, gdzie odbywał się zjazd. Rzeźnik młodzieży, późniejszy znany historyk, wezwał przedstawicieli do przerywania zjazdu i do przyłączenia się do manifestacji na rynku. Od-



WIDOK OGÓLNY LWOWA

mówiono temu wezwaniu, napiętnowano „pafidokrację” i zamknięto nam drzwi przed nosem. Wróciłmyś do tłumów i zdaliśmy sprawę z naszej misji. Oburzenie wydawało się w żywiołowych protestach, tłum ruszył na zdobycie ratusza. Policja austriacka zaczęła szarżować. Plazowano szablami. I wtedy jeden z uczestników zjazdu, stary profesor prawa na uniwersytecie lwowskim, oświadczył, że przylączy się do manifestacji na dół. Ze zjazd nie może obradować pod protekcją policji zaborej. Za profesorem podniósł się las rak. Otworło okna sali ratuszowej i podano do wiadomości tłumom, że zjazd odczono. Młodzież zwyciężyła. Wśród entuzjasmu karnie sfurmowały nowy pochód. Ze śpiewem na ustach szedł przez miasto. U wylotu ul. Batorego i Fredry nastąpił przełom. Wtedy ruszył tłum, wstrzymany przez oddział wojska niemieckiego. Jakiś oficer niemiecki obelżył wyraził się o Polakach. 14-letni uczeń szkoły średniej Czerkas wystąpił z szeregu i na obelg odpowiedział obelgą. Padł od rewolwerowej kuli niemieckiej.

Nigdy w życiu nie widziałem pogrzebu robiącego tak potężne, wstrząsające wrażenie, jak pogrzeb tego małego chłopca. Cały Lwów szedł za trumną, niesioną przez kolegów Czerkas. Skłupy we Lwowie zamknięto na znak żałoby, zapalone latarnie gazowe były przykryte krepą, wszystkie szkoły uczęszczały w pogrzebie, tramwaje nie wyjechały do miasta, ustala wszelka praca, życie polskie we Lwowie sprzegło się z tą małą trumną.

Nie umiem powiedzieć, czy i w jakim stopniu ta ówczesna postawa młodzieży lwowskiej wpłynęła realnie na wzmocnienie lęgowspół polityki polskiej w Wiedniu. Naprawdę jednak zmobilizowała dookoła siebie całą opinię publiczną we Lwowie, słabym i chwiejnym wyprostowała grzybięty lub zmusiła ich przynajmniej do milczenia. Wydobyla ze społeczeństwa potężne akordy wiary, pewności siebie, wolę działania i gotowość do ofiar.

Daje tu wyraz wspomnieniom wysiłków, w których sam brałem udział, i dlatego nie mam zamiaru odzwiercać obrazu t.zw. wielkiej polityki polskiej, idącej na spotkanie tych rozstrzygnięć. Ograniczając się zaś do przeżytych czynnie spraw, nie mogę pominąć milczeniem wspomnienia jednego z ośrodków ówczesnego rewolucyjnego działania we Lwowie, ośrodku, który, być może, stanowił w pewnym znaczeniu kwatere sztabową przygotowań na dzień przełomu. Ośrodek ten straszczał się w nazwisku jednego człowieka: Aleksandra Skarbka.

Przy ul. Dwernickiego, w trzypokojowym mieszkaniu Skarbka, który w kilka lat później cały swój majątek, Fredrowa Beńkówna Wisnę pod Samborem, zapisał państwu, przesławił się od rana do wieczora korowód ludzi, których młode twarze na zawsze wryły się w pamięć: legionści, którzy najczęstszym bodaj przedstawicielem był późniejszy pułkownik Ludwik de Laveaux, socjaliści ze swym przywódcą technikiem Wasilewskim, „Zetowa” młodzież narodowa, którą reprezentował Wielkopolanin Lech Suchowiak wraz z późniejszym organizatorem Instytutu Śląskiego i Pomorskiego, Romanem Lutmanem, i ze mną. Często mi gości Skarbka byli rów-

nież Żydzi, wśród których zapamiętałem Tadeusza Felsztyna, poległego w listopadzie. Skarbka, jako poseł do parlamentu austriackiego, krążył ustawicznie między Lwowem, Krakowem i Wiedniem, skąd przysyłał najważniejsze wiadomości. Był można powiedzieć, zmobilizowanym wołaniem ks. Robaka, ten oczekiwałem, że z najpoufniejszymi informacjami łączyl inteligentną zdolność przewidywania. Do tych elementów przedstawicieli młodzieży dodawali swój zasób znajomości stosunków miejscowych, swój imponujący w tym czasie dynamizm i

zwolał do Lwowa zjazd przedstawicieli wszystkich tajnych organizacji ideowo-politycznych młodzieży z całej Polski. Celem tego zjazdu miała być manifestacja młodego pokolenia w obliczu nadchodzącego przełomu historycznego. Rozeszliśmy emisariuszy po całej Polsce dla zapewnienia temu zjazdowi jak najliczniejszego uczestnictwa i najpełniejszego programowego charakteru. Dn. 31 października, dosłownie ostatnim pościągami, jakie przybyły do Lwowa, zjechał z całej Polski kilkudziesięciu przedstawicieli młodzieży akademickiej, reprezentujących taki sam syntetyczny wachlarz poglądów, jaki cechował lwowski A.K.W. Był to chyba najdziwniejszy zjazd, jaki kiedykolwiek odbył się w Polsce. Zamierzaliśmy patetycznym słowem powitać nadchodzącą niepodległość. Rzeczywistość sprawiła, że zamiast słowa zrodził się najrealniejszy czyn, uczestnicy bowiem zjazdu naajutrz po przybyciu do Lwowa wzięli karabiny do ręki, udali się na t.zw. polską stronę miasta i w ciągu listopada bili się o jego wolność i powrót do Rzeczypospolitej. Niemal wszyscy odnieśli rany, niektórzy z nich nawet po 22 listopada zrzęgowali z powrotu do domów i trwali na szafcu walki jeszcze przez następne miesiące.

Wracam wszelako do chronologii wydarzeń.

Oczekiwany dzień przełomu nastąpił 1 listopada. Nastąpił jednak w okolicznościach, których w istocie najmniej spodziewaliśmy się w ciągu całego roku. Nie jest rzeczą przypadkową czy też świadomą i celową kompozycję tych wspomnień, że dotychczas nie padło ani jedno słowo o Ukraincach. Oczywiście, w ostatnich dniach października, sprawa była już jasna, zwłaszcza po uchwaleniu ukraińskiej reprezentacji parlamentarnej w Austrii, że od tej strony zbliża się do Lwowa niebezpieczeństwo i że przełom właśnie w starciu z Ukraincami znajdzie swój historyczny wyraz. Ale w ciągu całego roku 1918 sprawa ta, jak wynika z przytoczonych faktów, bynajmniej nie była oczywista i pewna. Oczekiwaliśmy i gotowaliśmy się do starcia ze zdemoralizowanymi wojskami zaborej. Starcie to wyobrażaliśmy sobie jako operację — być może — przejściowo nawet trudną, ale napewno tylko przejściową, krótką, którą rychło opamiętujemy zwłaszcza przy pomocy oddziałów polskich armji austriackiej; że oddziały wedle wszelkiego prawdopodobieństwa i świadomych przygotowań z naszej strony znaleźć się miały w punktach, w których starcia należało oczekiwać, zwłaszcza we Lwowie. Wydawało się, że powrót Lwowa i Ziemi Czerwieskiej do tworzącego się państwa, odbędzie się w mniej więcej podobnych warunkach, w jakich dokonał się w Krakowie czy w Warszawie. Nie znaczy to oczywiście, abyśmy nie doceniali trudności, jakie stworzyć może w chwili przełomu separatyzm części społeczeństwa ukraińskiego.

Z faktycznych układów sił politycznych na terenie Ziemi Czerwieskiej nie wynikał jednak absolutnie wniosek, że należy liczyć się z takim rozwojem wydarzeń, których inauguracją stał się 1 listopada 1918 r. we Lwowie. Wydarzenia te przekroczyły ułożony rachunek prawdopodobieństwa, stały się klasycznym zaskoczeniem. Przedewszystkiem, zamiast oczekiwań oddziałów polskich z armji austriackiej, znalazły się w chwili przełomu we Lwowie jednostki złożone z Ukraińców. Na ratuszu lwowskim zawisnął w dn. 1 listopada sztandar niebiesko-żółty. Rozpoczęła się obrona Lwowa.

Wspomniomiony charakter niniejszych uwag nie pozwala, tak jakby to wynikało z logiki rzeczy, zająć się analizą stosunków polsko-ukraińskich na Ziemi Czerwieskiej. Jest to zagadnienie wielkie, osobne, jest to zagadnienie tragiczne. Nie wolno go upraszczać i wulgaryzować w ramach wspominkowej anegdoty. Trzeba natomiast to jedno powiedzieć z pełnym poczuciem odpowiedzialności i prawdy historycznej: Polacy nie podjęli obrony Lwowa w imię negatywnego hasła nienawiści do narodu ukraińskiego, w imię hasła odebrania Ukraincom praw do swobodnego rozwoju narodowego. Ta podbudka — jako żywo — była nam organicznie obca, nie wchodziła absolutnie w grę przy organizowaniu naszej gotowości w chwili przełomu. To myślny zostali zaskoczeni i zaatakowani, to nas zmuszono do walki w obronie miasta, które etnicznie, historycznie, kulturalnie i pod każdym względem było zawsze, jest i będzie najrdziej, najrepresenacyjniej polskie. Walka ta była koniecznością, tem tragiczniejszą, że leżała w interesie sił obcych, zarówno nam jak i Ukraincom wrogich, sił, które zarówno w dalekiej przeszłości, jak w owym historycznym roku 1918, jak wreszcie i dzisiaj i w przyszłości, śmiertelnie niebezpieczeństwo widzą i widzieć będą dla siebie w pojednaniu i współpracy Polaków i Ukraińców, we wspólnym ich marszu historycznym, stanowiącym trwałe i jedyne rozwiązanie zagadnienia wolności i wielkości obu narodów.

Ale w przekroju wspomnień widzę oczywiście nie tę kluzową sprawę polityczną — ale widzę straszliwe, samotne męstwo młodego miasta. Miasto bez żywności, bez wody,

bez światła. Ociekające ranami kalectwo wszystkich tajnych organizacji ideowo-politycznych młodzieży z całej Polski. Celem tego zjazdu miała być manifestacja młodego pokolenia w obliczu nadchodzącego przełomu historycznego. Rozeszliśmy emisariuszy po całej Polsce dla zapewnienia temu zjazdowi jak najliczniejszego uczestnictwa i najpełniejszego programowego charakteru. Dn. 31 października, dosłownie ostatnim pościągami, jakie przybyły do Lwowa, zjechał z całej Polski kilkudziesięciu przedstawicieli młodzieży akademickiej, reprezentujących taki sam syntetyczny wachlarz poglądów, jaki cechował lwowski A.K.W. Był to chyba najdziwniejszy zjazd, jaki kiedykolwiek odbył się w Polsce. Zamierzaliśmy patetycznym słowem powitać nadchodzącą niepodległość. Rzeczywistość sprawiła, że zamiast słowa zrodził się najrealniejszy czyn, uczestnicy bowiem zjazdu naajutrz po przybyciu do Lwowa wzięli karabiny do ręki, udali się na t.zw. polską stronę miasta i w ciągu listopada bili się o jego wolność i powrót do Rzeczypospolitej. Niemal wszyscy odnieśli rany, niektórzy z nich nawet po 22 listopada zrzęgowali z powrotu do domów i trwali na szafcu walki jeszcze przez następne miesiące.

Wracam wszelako do chronologii wydarzeń.

Oczekiwany dzień przełomu nastąpił 1 listopada. Nastąpił jednak w okolicznościach, których w istocie najmniej spodziewaliśmy się w ciągu całego roku. Nie jest rzeczą przypadkową czy też świadomą i celową kompozycję tych wspomnień, że dotychczas nie padło ani jedno słowo o Ukraincach. Oczywiście, w ostatnich dniach października, sprawa była już jasna, zwłaszcza po uchwaleniu ukraińskiej reprezentacji parlamentarnej w Austrii, że od tej strony zbliża się do Lwowa niebezpieczeństwo i że przełom właśnie w starciu z Ukraincami znajdzie swój historyczny wyraz. Ale w ciągu całego roku 1918 sprawa ta, jak wynika z przytoczonych faktów, bynajmniej nie była oczywista i pewna. Oczekiwaliśmy i gotowaliśmy się do starcia ze zdemoralizowanymi wojskami zaborej. Starcie to wyobrażaliśmy sobie jako operację — być może — przejściowo nawet trudną, ale napewno tylko przejściową, krótką, którą rychło opamiętujemy zwłaszcza przy pomocy oddziałów polskich armji austriackiej; że oddziały wedle wszelkiego prawdopodobieństwa i świadomych przygotowań z naszej strony znaleźć się miały w punktach, w których starcia należało oczekiwać, zwłaszcza we Lwowie. Wydawało się, że powrót Lwowa i Ziemi Czerwieskiej do tworzącego się państwa, odbędzie się w mniej więcej podobnych warunkach, w jakich dokonał się w Krakowie czy w Warszawie. Nie znaczy to oczywiście, abyśmy nie doceniali trudności, jakie stworzyć może w chwili przełomu separatyzm części społeczeństwa ukraińskiego.

Z faktycznych układów sił politycznych na terenie Ziemi Czerwieskiej nie wynikał jednak absolutnie wniosek, że należy liczyć się z takim rozwojem wydarzeń, których inauguracją stał się 1 listopada 1918 r. we Lwowie. Wydarzenia te przekroczyły ułożony rachunek prawdopodobieństwa, stały się klasycznym zaskoczeniem. Przedewszystkiem, zamiast oczekiwań oddziałów polskich z armji austriackiej, znalazły się w chwili przełomu we Lwowie jednostki złożone z Ukraińców. Na ratuszu lwowskim zawisnął w dn. 1 listopada sztandar niebiesko-żółty. Rozpoczęła się obrona Lwowa.

Wspomniomiony charakter niniejszych uwag nie pozwala, tak jakby to wynikało z logiki rzeczy, zająć się analizą stosunków polsko-ukraińskich na Ziemi Czerwieskiej. Jest to zagadnienie wielkie, osobne, jest to zagadnienie tragiczne. Nie wolno go upraszczać i wulgaryzować w ramach wspominkowej anegdoty. Trzeba natomiast to jedno powiedzieć z pełnym poczuciem odpowiedzialności i prawdy historycznej: Polacy nie podjęli obrony Lwowa w imię negatywnego hasła nienawiści do narodu ukraińskiego, w imię hasła odebrania Ukraincom praw do swobodnego rozwoju narodowego. Ta podbudka — jako żywo — była nam organicznie obca, nie wchodziła absolutnie w grę przy organizowaniu naszej gotowości w chwili przełomu. To myślny zostali zaskoczeni i zaatakowani, to nas zmuszono do walki w obronie miasta, które etnicznie, historycznie, kulturalnie i pod każdym względem było zawsze, jest i będzie najrdziej, najrepresenacyjniej polskie. Walka ta była koniecznością, tem tragiczniejszą, że leżała w interesie sił obcych, zarówno nam jak i Ukraincom wrogich, sił, które zarówno w dalekiej przeszłości, jak w owym historycznym roku 1918, jak wreszcie i dzisiaj i w przyszłości, śmiertelnie niebezpieczeństwo widzą i widzieć będą dla siebie w pojednaniu i współpracy Polaków i Ukraińców, we wspólnym ich marszu historycznym, stanowiącym trwałe i jedyne rozwiązanie zagadnienia wolności i wielkości obu narodów.

Ale w przekroju wspomnień widzę oczywiście nie tę kluzową sprawę polityczną — ale widzę straszliwe, samotne męstwo młodego miasta. Miasto bez żywności, bez wody, bez światła. Ociekające ranami kalectwo wszystkich tajnych organizacji ideowo-politycznych młodzieży z całej Polski. Celem tego zjazdu miała być manifestacja młodego pokolenia w obliczu nadchodzącego przełomu historycznego. Rozeszliśmy emisariuszy po całej Polsce dla zapewnienia temu zjazdowi jak najliczniejszego uczestnictwa i najpełniejszego programowego charakteru. Dn. 31 października, dosłownie ostatnim pościągami, jakie przybyły do Lwowa, zjechał z całej Polski kilkudziesięciu przedstawicieli młodzieży akademickiej, reprezentujących taki sam syntetyczny wachlarz poglądów, jaki cechował lwowski A.K.W. Był to chyba najdziwniejszy zjazd, jaki kiedykolwiek odbył się w Polsce. Zamierzaliśmy patetycznym słowem powitać nadchodzącą niepodległość. Rzeczywistość sprawiła, że zamiast słowa zrodził się najrealniejszy czyn, uczestnicy bowiem zjazdu naajutrz po przybyciu do Lwowa wzięli karabiny do ręki, udali się na t.zw. polską stronę miasta i w ciągu listopada bili się o jego wolność i powrót do Rzeczypospolitej. Niemal wszyscy odnieśli rany, niektórzy z nich nawet po 22 listopada zrzęgowali z powrotu do domów i trwali na szafcu walki jeszcze przez następne miesiące.

Wracam wszelako do chronologii wydarzeń.

Oczekiwany dzień przełomu nastąpił 1 listopada. Nastąpił jednak w okolicznościach, których w istocie najmniej spodziewaliśmy się w ciągu całego roku. Nie jest rzeczą przypadkową czy też świadomą i celową kompozycję tych wspomnień, że dotychczas nie padło ani jedno słowo o Ukraincach. Oczywiście, w ostatnich dniach października, sprawa była już jasna, zwłaszcza po uchwaleniu ukraińskiej reprezentacji parlamentarnej w Austrii, że od tej strony zbliża się do Lwowa niebezpieczeństwo i że przełom właśnie w starciu z Ukraincami znajdzie swój historyczny wyraz. Ale w ciągu całego roku 1918 sprawa ta, jak wynika z przytoczonych faktów, bynajmniej nie była oczywista i pewna. Oczekiwaliśmy i gotowaliśmy się do starcia ze zdemoralizowanymi wojskami zaborej. Starcie to wyobrażaliśmy sobie jako operację — być może — przejściowo nawet trudną, ale napewno tylko przejściową, krótką, którą rychło opamiętujemy zwłaszcza przy pomocy oddziałów polskich armji austriackiej; że oddziały wedle wszelkiego prawdopodobieństwa i świadomych przygotowań z naszej strony znaleźć się miały w punktach, w których starcia należało oczekiwać, zwłaszcza we Lwowie. Wydawało się, że powrót Lwowa i Ziemi Czerwieskiej do tworzącego się państwa, odbędzie się w mniej więcej podobnych warunkach, w jakich dokonał się w Krakowie czy w Warszawie. Nie znaczy to oczywiście, abyśmy nie doceniali trudności, jakie stworzyć może w chwili przełomu separatyzm części społeczeństwa ukraińskiego.

Z faktycznych układów sił politycznych na terenie Ziemi Czerwieskiej nie wynikał jednak absolutnie wniosek, że należy liczyć się z takim rozwojem wydarzeń, których inauguracją stał się 1 listopada 1918 r. we Lwowie. Wydarzenia te przekroczyły ułożony rachunek prawdopodobieństwa, stały się klasycznym zaskoczeniem. Przedewszystkiem, zamiast oczekiwań oddziałów polskich z armji austriackiej, znalazły się w chwili przełomu we Lwowie jednostki złożone z Ukraińców. Na ratuszu lwowskim zawisnął w dn. 1 listopada sztandar niebiesko-żółty. Rozpoczęła się obrona Lwowa.

Wspomniomiony charakter niniejszych uwag nie pozwala, tak jakby to wynikało z logiki rzeczy, zająć się analizą stosunków polsko-ukraińskich na Ziemi Czerwieskiej. Jest to zagadnienie wielkie, osobne, jest to zagadnienie tragiczne. Nie wolno go upraszczać i wulgaryzować w ramach wspominkowej anegdoty. Trzeba natomiast to jedno powiedzieć z pełnym poczuciem odpowiedzialności i prawdy historycznej: Polacy nie podjęli obrony Lwowa w imię negatywnego hasła nienawiści do narodu ukraińskiego, w imię hasła odebrania Ukraincom praw do swobodnego rozwoju narodowego. Ta podbudka — jako żywo — była nam organicznie obca, nie wchodziła absolutnie w grę przy organizowaniu naszej gotowości w chwili przełomu. To myślny zostali zaskoczeni i zaatakowani, to nas zmuszono do walki w obronie miasta, które etnicznie, historycznie, kulturalnie i pod każdym względem było zawsze, jest i będzie najrdziej, najrepresenacyjniej polskie. Walka ta była koniecznością, tem tragiczniejszą, że leżała w interesie sił obcych, zarówno nam jak i Ukraincom wrogich, sił, które zarówno w dalekiej przeszłości, jak w owym historycznym roku 1918, jak wreszcie i dzisiaj i w przyszłości, śmiertelnie niebezpieczeństwo widzą i widzieć będą dla siebie w pojednaniu i współpracy Polaków i Ukraińców, we wspólnym ich marszu historycznym, stanowiącym trwałe i jedyne rozwiązanie zagadnienia wolności i wielkości obu narodów.

Ale w przekroju wspomnień widzę oczywiście nie tę kluzową sprawę polityczną — ale widzę straszliwe, samotne męstwo młodego miasta. Miasto bez żywności, bez wody,

bez światła. Ociekające ranami kalectwo wszystkich tajnych organizacji ideowo-politycznych młodzieży z całej Polski. Celem tego zjazdu miała być manifestacja młodego pokolenia w obliczu nadchodzącego przełomu historycznego. Rozeszliśmy emisariuszy po całej Polsce dla zapewnienia temu zjazdowi jak najliczniejszego uczestnictwa i najpełniejszego programowego charakteru. Dn. 31 października, dosłownie ostatnim pościągami, jakie przybyły do Lwowa, zjechał z całej Polski kilkudziesięciu przedstawicieli młodzieży akademickiej, reprezentujących taki sam syntetyczny wachlarz poglądów, jaki cechował lwowski A.K.W. Był to chyba najdziwniejszy zjazd, jaki kiedykolwiek odbył się w Polsce. Zamierzaliśmy patetycznym słowem powitać nadchodzącą niepodległość. Rzeczywistość sprawiła, że zamiast słowa zrodził się najrealniejszy czyn, uczestnicy bowiem zjazdu naajutrz po przybyciu do Lwowa wzięli karabiny do ręki, udali się na t.zw. polską stronę miasta i w ciągu listopada bili się o jego wolność i powrót do Rzeczypospolitej. Niemal wszyscy odnieśli rany, niektórzy z nich nawet po 22 listopada zrzęgowali z powrotu do domów i trwali na szafcu walki jeszcze przez następne miesiące.

Wracam wszelako do chronologii wydarzeń.

Oczekiwany dzień przełomu nastąpił 1 listopada. Nastąpił jednak w okolicznościach, których w istocie najmniej spodziewaliśmy się w ciągu całego roku. Nie jest rzeczą przypadkową czy też świadomą i celową kompozycję tych wspomnień, że dotychczas nie padło ani jedno słowo o Ukraincach. Oczywiście, w ostatnich dniach października, sprawa była już jasna, zwłaszcza po uchwaleniu ukraińskiej reprezentacji parlamentarnej w Austrii, że od tej strony zbliża się do Lwowa niebezpieczeństwo i że przełom właśnie w starciu z Ukraincami znajdzie swój historyczny wyraz. Ale w ciągu całego roku 1918 sprawa ta, jak wynika z przytoczonych faktów, bynajmniej nie była oczywista i pewna. Oczekiwaliśmy i gotowaliśmy się do starcia ze zdemoralizowanymi wojskami zaborej. Starcie to wyobrażaliśmy sobie jako operację — być może — przejściowo nawet trudną, ale napewno tylko przejściową, krótką, którą rychło opamiętujemy zwłaszcza przy pomocy oddziałów polskich armji austriackiej; że oddziały wedle wszelkiego prawdopodobieństwa i świadomych przygotowań z naszej strony znaleźć się miały w punktach, w których starcia należało oczekiwać, zwłaszcza we Lwowie. Wydawało się, że powrót Lwowa i Ziemi Czerwieskiej do tworzącego się państwa, odbędzie się w mniej więcej podobnych warunkach, w jakich dokonał się w Krakowie czy w Warszawie. Nie znaczy to oczywiście, abyśmy nie doceniali trudności, jakie stworzyć może w chwili przełomu separatyzm części społeczeństwa ukraińskiego.

Z faktycznych układów sił politycznych na terenie Ziemi Czerwieskiej nie wynikał jednak absolutnie wniosek, że należy liczyć się z takim rozwojem wydarzeń, których inauguracją stał się 1 listopada 1918 r. we Lwowie. Wydarzenia te przekroczyły ułożony rachunek prawdopodobieństwa, stały się klasycznym zaskoczeniem. Przedewszystkiem, zamiast oczekiwań oddziałów polskich z armji austriackiej, znalazły się w chwili przełomu we Lwowie jednostki złożone z Ukraińców. Na ratuszu lwowskim zawisnął w dn. 1 listopada sztandar niebiesko-żółty. Rozpoczęła się obrona Lwowa.

Wspomniomiony charakter niniejszych uwag nie pozwala, tak jakby to wynikało z logiki rzeczy, zająć się analizą stosunków polsko-ukraińskich na Ziemi Czerwieskiej. Jest to zagadnienie wielkie, osobne, jest to zagadnienie tragiczne. Nie wolno go upraszczać i wulgaryzować w ramach wspominkowej anegdoty. Trzeba natomiast to jedno powiedzieć z pełnym poczuciem odpowiedzialności i prawdy historycznej: Polacy nie podjęli obrony Lwowa w imię negatywnego hasła nienawiści do narodu ukraińskiego, w imię hasła odebrania Ukraincom praw do swobodnego rozwoju narodowego. Ta podbudka — jako żywo — była nam organicznie obca, nie wchodziła absolutnie w grę przy organizowaniu naszej gotowości w chwili przełomu. To myślny zostali zaskoczeni i zaatakowani, to nas zmuszono do walki w obronie miasta, które etnicznie, historycznie, kulturalnie i pod każdym względem było zawsze, jest i będzie najrdziej, najrepresenacyjniej polskie. Walka ta była koniecznością, tem tragiczniejszą, że leżała w interesie sił obcych, zarówno nam jak i Ukraincom wrogich, sił, które zarówno w dalekiej przeszłości, jak w owym historycznym roku 1918, jak wreszcie i dzisiaj i w przyszłości, śmiertelnie niebezpieczeństwo widzą i widzieć będą dla siebie w pojednaniu i współpracy Polaków i Ukraińców, we wspólnym ich marszu historycznym, stanowiącym trwałe i jedyne rozwiązanie zagadnienia wolności i wielkości obu narodów.

Wracam wszelako do chronologii wydarzeń.

Oczekiwany dzień przełomu nastąpił 1 listopada. Nastąpił jednak w okolicznościach, których w istocie najmniej spodziewaliśmy się w ciągu całego roku. Nie jest rzeczą przypadkową czy też świadomą i celową kompozycję tych wspomnień, że dotychczas nie padło ani jedno słowo o Ukraincach. Oczywiście, w ostatnich dniach października, sprawa była już jasna, zwłaszcza po uchwaleniu ukraińskiej reprezentacji parlamentarnej w Austrii, że od tej strony zbliża się do Lwowa niebezpieczeństwo i że przełom właśnie w starciu z Ukraincami znajdzie swój historyczny wyraz. Ale w ciągu całego roku 1918 sprawa ta, jak wynika z przytoczonych faktów, bynajmniej nie była oczywista i pewna. Oczekiwaliśmy i gotowaliśmy się do starcia ze zdemoralizowanymi wojskami zaborej. Starcie to wyobrażaliśmy sobie jako operację — być może — przejściowo nawet trudną, ale napewno tylko przejściową, krótką, którą rychło opamiętujemy zwłaszcza przy pomocy oddziałów polskich armji austriackiej; że oddziały wedle wszelkiego prawdopodobieństwa i świadomych przygotowań z naszej strony znaleźć się miały w punktach, w których starcia należało oczekiwać, zwłaszcza we Lwowie. Wydawało się, że powrót Lwowa i Ziemi Czerwieskiej do tworzącego się państwa, odbędzie się w mniej więcej podobnych warunkach, w jakich dok

ZYGUMNT NOWAKOWSKI

COŚ PODOBNEGO, ALE O CZYMŚ INNEM

Jest, a może już tylko była, w Krakowie znana księgarnia Krzyżanowskiego na linii A-B, tuż koło ul. Sławkowskiej. Właściciel tej księgarni opowiadał rozmaite zabawne rzeczy o swych klientach. Kiedyś np. w czasie wielkiego ruchu, gdy pełno było kupujących, wszedł do księgarni jakiś wysoki, chudy pan, o twarzy bardzo poważnej i smutnej. Na pytanie, czym mu służył wyrobiony i dobry psycholog, cofnął się przecznie na ladę i rzekł, że księgarnia nie ma takiego podreznika na składzie, ale że go zamówi.

— To potrwa najwyżej dwa-trzy dni...

— Nie, ja potrzebuję zaraz! — odrzekł smutny pan i wyszedł.

Innym razem zjawił się w księgarni jakiś tegi, zazywany ziemianin, który przetruczył cały stos książek, nie mógł jednakże zdecydować się na wybór. Ekspedjent podsuwał mu rozmaite dzieła i wreszcie pokazał Maeterlincka „Życie pszczoł”. Klient zainteresował się żywo tą książką, przeglądał ją na wszystkich bokach, w końcu jednak rzekł:

— A czy nie ma pan czegoś podobnego, tylko nie o pszczołach, ale baranach?

Tranzakcja nie doszła do skutku. Przypomniała mi się ta anegdota dzisiaj, gdy czytałem „Krzyżaków”, świeżo wydanych po angielsku. Książka pasjonująca! Może ze wszystkich dzieł Sienkiewicza pisana w sposób najbardziej porządkowy, staranny, wolna od pewnych łatwin „Trylogii” i, w przeciwieństwie do „Trylogii”, w niej nie przypominająca bał kostiumowego. Książka potrzebna, taka która powinna była ukazać się już przed trzema laty. No, w każdym razie lepiej, że wyszła teraz, że wydano ją późno, niż gdyby nie miała ukazać się nigdy. Czytam ją nowość, a przecież w trakcie lektury mówię sobie raz po raz: „Gdyby można to było uzupełnić, czemś takim samym, ale o czymś innym. I nie z przedmową Vansittara, lecz np. Voigta...” Ach, jakie usługi mogłaby oddać taka książka! Oczywiście, gdyby dało się ją dzisiaj w Anglii wydrukować.

Gospodarze nasi umiemy widzieć i słyszeć tylko to, co chcą widzieć lub usłyszeć. Gdy się im pokazuje jakies inne obrazy lub mówi o jakichś innych rzeczach, są głusi i ślepi. Zarzucają nam, i szusnie, nerwowość, uleganie podstępom naszego nieposkromionego temperamentu. Dziwią się temu, że nasze, polskie, oczy biegają raz po raz, od prawej do lewej strony, od zachodu na wschód, że głowa nam chodzi tak jak na jakiejś rozgrzewce tenisowej, śledząc ruch piłki, przelatującej ponad siatką. Oni pojąć nie mogą naszej emocji, którą przeżywamy w związku z nadchodzącym finałem. Sami, z natury będąc ludźmi spokojnymi, przecież zaczynają się denerwować naszym niepokojem, według nich zupełnie, całkowicie nieuzasadnionym.

Książka ma wielkie powodzenie, tem dziwniejsze więc, że jakiś „dystrybutor” stratonski skąpi jej polskim księgarzom. Kiedyś, gdy czas na to pozwoli, trzeba będzie napisać coś o samych „Krzyżakach”, o przedmowie i o przekładzie, który jest wzorem pracy młodej, wręcz benedyktyńskiej. Tłumacz gździejnie wpada w pewnego rodzaju przesadę, zwłaszcza tam, gdzie stara się przekładać nawet nazwiska, jak np. „Nicholas of Longwood”, „Paszko the Thief of Biskupiec”, albo przy nazwisku Krzyna z Kozichłóg dodając w nawiasie „Goats Heads”. Zato t.zw. realia „Krzyżaków” opracowane są doskonale.

Gdybyśmy zrobili pórównanie nas ankiety, jakie nazwisko jest w emigracji polskiej na gruncie Wielkiej Brytanii najbardziej popularne, gdybyśmy spytali o człowieka, bez którego nikt z nas nie potrafi się obejść, i którego potrzeba za dnia i nawet niekiedy w nocy, odpowiedź byłaby jednoznaczna: Stanisławski! Słownik polsko-angielski i angielsko-polski. Unanimiter Stanisławski. Ale w trakcie czytania „Krzyżaków” Stanisławski niekiedy zawodzi. Przy pewnych słowach czytelnik wie odrazu, że trzeba sięgnąć po słownik oxfordzki albo po H. C. Wylda. Lecz one także w wielu wypadkach przyniosą rozczarowanie, co stanowić może miarę trudności, jakie miał do pokonania i jakie pokonał summa cum laude anonimowy z przeczyn natury prywatnej, rodzinnej, tłumacz.

Z przyczyn natury nie prywatnej, choć także rodzinnej, wielu z nas, może nawet i wszyscy, spać po nocach nie możemy. Gdy Polak spotka znajomego Anglika, czasami pada pytanie: „Dlaczego pan tak źle wygląda?” „Na odpowiedź zaś, że przyczyną złego wyglądu jest bezsenność, pada następne: „Ależ dlaczego wy się tak denerwujecie? Och, wy, Polacy!” Gdyby istniała, wydana po angielsku, książka podobna do „Krzyżaków”, lecz mówiąca o czymś innym a zapożyczona, jak wspominałem, w przedmowie

np. Voigta, nie musielibyśmy tłumaczyć powodów naszej bezsenności.

„Krzyżacy”, czytani w nocy, w łóżku, zdają do dobrego, kochanego Stanisławskiego, zmuszają do pewnej pracy umysłowej. Niezmiennie często człowiek zadaje sobie pytanie, jak dany zwrot czy dane słowo brzmi w oryginale. Np. gdy Danuśka zarzuca welon na głowę Zbyszka, woła w przekładzie angielskim: „He's mine! He's mine!” co rytmicznie potwierdza, mówiąc: „He is hers!”. Do diabła ciężkiego, jakże to było po polsku? Czy nie: „Mój jest!” i „Jej jest!”? Albo np., gdy mowa o dworze księżnej Anny, przy wyrażeniu „ladies in waiting”, możemy się długo, by przypomnieć sobie, że po polsku były to pewnie „dworki”. Inne uczucie budzi się przy jednym z najpiękniejszych rozdziałów „Krzyżaków”, więc w sennie, gdy w zwłok brata Rotgiera staje Zygryf i mówi: „Son! Dear Son!”

Jakże to było po polsku? Czytałem „Krzyżaków” po raz pierwszy jako dziewięcioletni chłopiec, bezpośrednio po ich ukazaniu się. Czytałem dosłownie ukradkiem, ponieważ matka moja zamknęła książkę przed mną na klucz, twierdząc nie bez racji, że to lektura nadto denerwująca dla takiego smarkacza. Kradłem, tom po tomie i czytałem. A lektura była naprawdę denerwująca. Zwłaszcza ta scena w zwłok brata Rotgiera wywołująca dreszcze lęku. Zygryf nie mówił: „Synu! Drogi synu!”. Przysiągłbym, że mówił inaczej. Mówił „Synaczu!”? Słowo to było straszne, przejmujące do szpiku kości.

Redakcja nasza otrzymuje czasem dziwne listy z najrozmaitszymi zapytaniami, na które trzeba w miarę możliwości odpisywać. Np. żołnierze jacyś chcą dowiedzieć się, o ile język angielski łogatszy jest niż polski. „Son! Dear Son!” i „Synaczu!” mogłoby starczyć za odpowiedź, choć byłaby ona odpowiedzią niezbyt ścisłą. Oczywiście, że język angielski jest bogatszy, lecz i nasz nie jest ubogi. No, słowo „syn” ma u nas wielkie odmiann. Zygryf mówi „Synaczu!”, podobnie jak Matka Boska w którejś starej kalendarze. Jest i „syneczek” i „synus”, nie mówiąc o sufiksach pejoratywnych, dzięki którym powstał np. „synalek” czy „synisko”.

Dużo, dużo dalo by się napisać w związku z „Krzyżakami”, z tą książką piękną a sensacyjną dziełką swej aktualności. Jeśli bodaj tysiąc tysięcy przeczyta „Krzyżaków”, liczb tych, którzy wierzą w istnienie „dobrych” Niemców zmniejszy się może o jakieś pro milie, co także stanowiłoby efekt poważny. Jedną jednak o to, że my ciagle gramy komedję na rozkaz, że robimy dobrą minę do gorszej z gier, która polega na przemilczaniu faktów aktualnych a nie mniej „sensacyjnych” niż zawiły spłót krzyżackiej intrygi.

Prasa brytyjska powtarza ustawicznie zarzuty Sowietów, jakoby polski ruch podziemny nie zwałował Niemców, oraz powtarza twierdzenia, jakoby największym wrogiem Niemców była partyzantka spadochroniarzy rosyjskich we wschodniej części Polski. I jedno i drugie jest kłamstwem, którego nie da się odeprzeć, posługując się milczeniem. Polska pierwsza w Europie stworzyła nie tyle ruch podziemny ile armię podziemną, która bije się z Niemcami od chwili wejścia ich w nasze granice. To sprawa znana, mniej znana jest fakt, że dywersanci rosyjscy, których się w Polsce wielo, walczyli wyłącznie z... ludnością polską, na co pozwala im dśintéressement niemieckie w tej sprawie. Partyzanci rosyjscy, choć rozporządzają bronią w dostatecznej ilości, żyją z garnizonami niemieckimi na zasadzie „treuga Dity”.

Czy Brytyjczycy i Amerykanie chcą lub nie chcą słuchać, czy chcą lub nie chcą widzieć, powinniśmy zacząć wreszcie mówić o pewnych sprawach w sposób zupełnie otwarty. Nie wolno przemilczać nam t.zw. rzeczy wołyńskiej, która zaczęła się przed kilku miesiącami i trwa po dzień dzisiejszy. Właśnie nastąpił z Rosji partyzanci wycieli zgórą siedemdziesiąt tysięcy ludności polskiej, posługując się metodami najciszej „krzyżackimi”. Wbijanie na pał, przecinanie piłą i t.p., są to zupełnie normalne środki, które stosują owi bohaterzy walki podziemnej, skierowanej wyłącznie przeciwko Polakom, przeciwko tej biedzie i nędzy polskiej, jakie jeszcze tam zostały. Ta robota jest bardzo na rękę Niemcom, ponieważ Niemcy i Rosjanie mają ten sam cel, gdy idzie o Polaków. Niemcy i Rosjanie dają do tego samego: zniszczenie państwa polskiego jest stadijum początkowym, którego dalszym etapem ma być wytopienie narodu polskiego, tak aby zniknął z powierzchni ziemi.

Nasza propaganda pewne rzeczy niepotrzebnie przemilcza. Jeśli idzie o sprawę „stosunków” polsko-rosyjskich, mówiliśmy trochę, bardzo dawno zresztą, np. o dziejach polskich, ginących z głodu w Rosji, zaczęliśmy kampanię w sprawie grobów pod Smoleńskiem, by ją nagle przerwać, stałe są prośbami dyskusję tylko w kwestii granic.

Jest to dyskusja całkowicie nieaktualna z dwóch przyczyn. Po pierwsze, nie mamy nie

do sprzedania, po wtóre, partnerowi naszym nie idzie ani o granice ryzyka ani o linję Curzona ani o linję Molotow-Ribbentrop, idzie mu prosto o przekroczenie granicy wytrzymałości biologicznej narodu polskiego. Idzie im o nasz byt. Nie chcą żadnej Polski wogóle, więc nawet najmniejszej, nie chcą nawet jakiegoś „dehydrated” wolnego miasta Warszawy. Pragną, by ci Polacy, którzy eudem ostają się żywi, którzy unikną rzezi wołyńskiej, polskiej, podolskiej, podlaskiej i t.d., stopieni zostali w strasliwym, do białosie rozpalonym, rosyjskim „melting pot”, który od amerykańskiego różni się tak, jak różni się noc od dnia. Przeszliśmy wreszcie mówić o Lwowie czy o Wilnie, skoro w grę wchodzi przedewszystkiem był całego narodu polskiego.

„Krzyżacy” — powtarzamy — są piękną książką o bohaterstwie walce Polaków z Niemcami. Ale przydałyby się do niej uzupełnienia. Wice np. opis bohaterstwa obrony Janowej Doliny, która w jesieni ub. r. przez tydzień stawiała opór spadochroniarzom rosyjskim. Garnizon niemiecki jest niedaleko od Doliny Janowej, bo w Zdobul, w Równem a nawet może i w oddalonym od Janowa o 14 km. Kostopolu, jednakże Niemcy nie przeszkadzali owym spadochroniarzom. Pod tym względem obie strony idą ręką w rękę. Idzie o wytipienie wspólnego wroga, t.j. Polaków.

Jeśli Polacy tam, w Kraju, nie ulegli mimo wszystko ani na chwilę najkrótszą, nie wolno ulegać nam, zwłaszcza że przedsięwzięcie dni ostatnich, podane w formie prawdziwie azjatyckiej, są naprawdę próbą zastraszenia, próbą tem bardziej gwałtowną, im bardziej przekroczenie przez Rosjan granicy polskiej jest, jak narazie przynajmniej, faktem raczej natury propagandowej. Gdziekolwiek wojska rosyjskie stoją jeszcze wale daleko od granicy polskiej z któregośkolwiek roku, więc z r. 1939, z r. 1938 czy, z r. 1920, w każdym razie stoją one daleko od tej granicy, której broni nasz wyraźny traktat z Wielką Brytanią.

Jakkolwiek przedstawia się sytuacja bieżąca, wierzymy w traktat polsko-brytyjski, ale musimy podkreślić wobec naszych sojuszników, że przeważająca większość uchodźstwa to żołnierze, albo aktualnie w mundurze albo chwilowo w cywilu. Każdy żołnierz, każdy rekrut, składał we właściwym czasie przysięgę, że bronić będzie całosci Rzeczypospolitej. Tej przysięgi nie przekreślić nie zdola.

Jeśli zaś idzie o literaturę, niedaleko może jest dzień, gdy w księgarniach całego świata pojawi się wielu klientów, którzy potrzebowaliby będą podręcznika tresury... zbików. Kiedy księgarze odpowiadają im, że nie mają tego dzieła na składzie i że muszą go sprowadzić, co potrwa kilka dni, padnie ze strony klientów odpowiedź jednokrotna:

— Potrzebujemy tego dziś! Natychmiast!

ZYGUMNT NOWAKOWSKI.

ZYGUMNT HAUPT

WESELE NA WSI

Pani L. była przewodniczącą kół gospodyń wiejskich, zdaje mi się, na powiat R. Niebardzo orientując się w całości poczynali społecznych tych inicjatywach przez ówczesny rząd stowarzyszeń, myślę że i w tem miał cele przenikania wgląd, jakoby rząd totalitujący. Przy pomocy rozkładów prowadzonych przez stół miałem sposobność zjechać nie chacie rozszerzyć swoje horyzonty na temat dosyć mglisto zarysowanej się pracy kobiet w społeczności, jak gdyby to co robią przez instynktowno biologicznie nakaz nie było aż nadto. Jedną z tych pań, że zgrupowania Wólka Tarnowiecka, miała wyjść zamarzać, co na terenie świeżo zajmowanych kół było zdarzeniem, w zasadzie zaś było starą jak okoliczne bory historią.

Któregoś dnia przed kuchenne schody zjechał wóz wozoszczony słomą, i przyszła obłubienica, czerwona od jazdy i zakłopotania, wśród szeptań pokojówek, schylając się nisko, nie jak uświadomiony członek koła gospodyń, ale bardzo po pierwotnemu, zapraszała na wesele.

Potem minęło parę dni, kilka razy przypominano sobie zaproszenie, nie zdecydowano się, zyczeliśmy wsiowym, nigdy na wsi nie spotkałem się z ostrą decyzją, w końcu jednak ustalono wyjazd. Ponieważ w tamtą stronę było daleko, więc zdecydowano jechać samochodem.

Przed ganek w zgryzie zwiru pod cykajacymi oponami, zajeżdżał sześćdziesięcioosobny Buick, a od strony folwarku w stepie kopyt z formalen na grzbiecie jełowego konia, z nogami przewieszonymi niedbale, „po damsku”, czwórka koni. Był to nieodczyny naddekt, ta kwadrą konia, wlokąca po grudzie wagi z orczykami. Miała odrobić pierwsze pięć kilometrów za sześćdziesiąt koni mechanicznych wających się do skoku, pięć kilometrów, co po niedawnej słocie był pasem, przemieszanego obręczami kół, gestego błota, a w miejscach gdzie się urwalo, wydymały piaski i jeziorami kałuż.

Pani L. uparcie przywodziła haubę samochodową, pamiętającą stylowe czasy pierwszych Panhard-Leveassur, jankimki szeszałki, wijące się między kołami pojazdu i pęcinami cierniowych koni, pan L. sceptycznie lecz aprobując obserwował przygotowania z odzwi duma, formal na „Gotowe!” strzyknął śliną spomiędzy zębów na żwir zajązdu, i dziwna kombinacja nagonosności z tradycją, ruszyła wzdłuż luku gazonu w drogę. Dziewczyny, pracujące przy kopcach na przeciw obory, podnosiły twarze koloru ochry i patrzyły niecierpliwie na nami. Kłębły dymu odezwały się od rdzawego komina gozeli, osmielone swą samodzielnością, puszczaly się w niewiadomą, północno-zachodnią drogę i ginęły rozwiewane w nieość, dając wolne pole następnym pokoleniom zraty. Niebiesko-białe malowany krzyż kamienny na rozstaju ginał w rozczepionych krzakach głogu. Zostawialiśmy z prawej wyciągnięte rzędy chałup, dwohity żelazne ognia orczycy ciągnące machinę General Motors, las zbliżał się szybko, błoto jakoś nie dawało się we znaki. Chlusnęła pod oponami szeroko woda pierwszych leśnych kałuż, i zmącił się i zalał w nich czysty obraz nieba. Pomiędzy niskimi pniami drzew polatywały ptaki, i czerwieniła się kora drzew na porbie leśnej. Potem zastukała twarda nawierzchnia szosy pod kopytami koni, i zatrzymaliśmy się ażeby wyprząć.

STRATTON STREET
Phone: MAYFAIR 7807-9
LE COQ D'OR
RESTAURANT
MAISON FRANÇAISE
Sala restauracyjna, większe i mniejsze sale bankietowe

POLSKI KUŚNIERZ
dawniej w Katowicach
LANGER & COMPANY (Furriers) LTD.
Wykonują futra NOWE i przeróbki wszelkiego rodzaju. Futra na składzie. Specjalne udogodnienia dla prowincji.
59, KNIGHTSBRIDGE, S.W.1. telefon SLO 3626

BRYLANTY ZDROŻAŁY O 100%
PŁACIMY NAJWYŻSZE CENY W LONDYNIE
ZA BRYLANTY ZŁOTO (18K) ZA UNGER
Brylanty, klejnoty, kamienie szlachetne, srebra, platyny, antyki i kosztowności wszelkiego rodzaju, Gotówka, przemyślnie, Prosimy o odwiedzenie nas: zgłoszenia przysyłajcie pocztą albo telefonicznie: MAYFAIR 3525
LINDEN & CO. 85, New Bond Street, London, W.1
PIERWSZY SKLEP JUBILERSKI PRZY NEW BOND ST.

THE HANDBAG REPAIR SHOP
124, Baker Street, London, W.1
NAPRAWA TOREBEK DAMSKICH
Nowe podszewki — naprawianie zamków i zatrzasków
Niema dla nas nie zbyt małego lub zbyt wielkiego

RESTAURACJA
WYSZYŃSK TRUNKÓW
Warto spróbować specjalności greckich w
KROPOLIS
24, Percy Street, London, W.1
tel. MUSEUM 2289

Vanek KRAWIEC i KUŚNIERZ
Korzystna zamiana i kupno futer w dobrym stanie
Pierwszorzędne kostiumy i palta zimowe na zamówienie
4, William Street, Knightsbridge, również w Bournemouth

STANISŁAW STROŃSKI

TROSKA JENERAŁA SMUTSA

Mowa jen. Smutsa w zamkniętym gronie Empire Parliamentary Association w gmachu Parlamentu Brytyjskiego, 25 listopada 1943, następnie bardzo szeroko ogłoszona w osobnej odbitce i w „dziennikach, pojęta powszechnie jako pobudka i przegrzywka nowego okresu stałego kierownictwa trzech mocarstw, Imperium Brytyjskiego, Stanów Zjednoczonych i Rosji, w polityce światowej — kierownictwa stanowczego, sprężystego i władczego — wcale jeszcze nie przebrzmiała i nadal uważana jest, w licznych odwołaniach się do niej i powoływaniach się na nią, za obwieśczenie tej nowej doby w trybie... rozkazującym: *sic volo, sic iubeo*.

Tego znaczenia nikt tej mowie narazie nie ujmie. Wytrwamy mówca chciał wywołać takie wrażenie. I cel ten osiągnął. Mimo to niewskazane byłoby zbyt nieuprzedzenie sobie tej niewielkiej mowy, w której, im dłużej luezy gronkie pronunciacie, mento władania trzech, tem wyraźniej zalałuje z głębi jeszcze jakis inny dźwięk dziwnie niepokojący.

Jen. Smuts jest osobistością bardzo wybitną w świecie brytyjskim i w całym świecie. To stary wilk na rozdrożach i w ostepach polityki światowej. Już w czasie rokowań pokojowych po poprzedniej wojnie sucha jego postać przewijała się, wcale nie niepostrzeżenie, przez gęstwinę rzemieślników pokoju, nie zawsze świadomą czego właściwie chce. A teraz już w czasie wojny, w szeregu pełnych treści przemówień jesienią 1942 i jesienią 1943, zabiera się zjawo do nowego dzieła. Myśli bystro i ścisłe, a gdy mówi, to nie poto, by nie nie powiedzieć.

W ostatniej mowie watek był, najwięcej, taki:

— Naczelną zasadą życia międzynarodowego w przyszłości, zaczynając już od obecnej chwili konczenia wojny i od załatwienia politycznych po niej, musi być kierownictwo trzech wielkich mocarstw, Imperium Brytyjskiego, Stanów Zjednoczonych i Rosji. W Europie nie tylko Niemcy i Włochy ale i Francja przestanie być wielkim mocarstwem. Rosja natomiast, po tem co się w niej dokonało w ciągu ostatniego ćwierćwiecza, zdobędzie w Europie stanowisko, jakiego w niej nie miało żadne państwo w toku dziejów. Wielka Brytania wyjdzie z wojny w chwale,

lecz, w porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi i z Rosją, także i w dziedzinie zasobów i sił. Pożądane jest przeto stworzenie ścisłego związku państwowego między Wielką Brytanią a demokracjami zachodnioeuropejskimi.

Mowa ta, rozpowszechniona wszędzie, miała ogromny rozgłos i sporo odgłosów. Poruszyła, w zarysach niezmiennie ostrych, sprawy bardzo doniosłe. Targnęła drażniąc węzłami spłotu Narodów Zjednoczonych, a zarazem jakby sama się pchała na kowadło do kuzni p. Goebbelsa. Zgrzyty w niej — czy to o Francji z pola schodzącej, czy o wynędzniałej po wojnie Wielkiej Brytanii, czy to o narzuconiu Narodom Zjednoczonym, chcą czy nie chcą, kierownictwa Trzech Mocarstw — były zbyt przenikliwe, by nie wywołać w Izbie Gmin pytań zakłopotanych i kłopotliwych. P. Attlee odzłopotany 7 grudnia 1943 stwierdzeniem, że mowa ta była wygłoszona i ogłoszona przez jen. Smutsa na jego odpowiedzialność, bez jakiegokolwiek porozumienia z Rządem J. Kr. Mosci, a i p. Eden, w mowie z 14 grudnia 1943 po powrocie z Teheranu, łagodził niektóre zadrażnienia.

Właściwie jednak zgrzyty w tej mowie są tylko najlaskrawszą, lecz wcale nie najistotniejszą, jej cechą.

Nikt nie weźmie poważnie stawiania krzyżka nad Francją. Naprzód dlatego, że Francja odznaczała się zawsze zdumiewającą żywotnością, tężyzną i zdolnością odrodzenia po klęskach, czy to gły wojna stuletnia w XIV i XV w. zamienia wielkie jej polaie w pustynie, czy to w końcu XVIII w. i na początku XIX w. w wstrząsie Wielkiej Rewolucji i po zawrotnym okresie Napoleona, czy to po Sedanie w r. 1870 i po zepchnięciu w długi okres odosobnienia i niemal niemocy w Europie. *La France semble un saule verdoyant* — powiedział już Ronsard. — *Plus on le coupe et plus il va pousseant*. Skoro jen. Smuts stwierdza, że dzieło dokonane przez Rosję w ciągu ostatnich 25 lat uzasadnia jej przyszłe wielkie stanowisko w Europie, jeżeliż można jednym totem mówić o zepchnięciu Francji po tem co ona zdziałała w Europie w ciągu 25 wieków? Zresztą, jeśli się mówi o Europie bez Francji, lepiej wogóle nie mówić o Europie, gdyż ten nowy

Wiele prostoduszne byłoby mniemanie, że jen. Smuts nie zdawał sobie sprawy, iż do żywego dotknął Francję i wszystkich jej przyjańców złośliwymi wyrokami, iż nie ujmie sobie Brytyjczyków zapowiedzią, że będą... trzecim między równymi, iż rozłożył szesdziesiąt narodów oddawaniem ich pod rządy Rosji. Wiedziat również, że te przeklaskiwania same się rozwijają i spełniają. Są to w mowie jego tylko przemijające *requisitoirs* dla wyudatnienia myśli głównej i mającej pozostać w umysłach.

A cóż pozostaje? Zapytajcie kogokolwiek. Jak wam streści w jednym zdaniu tę mowę? — Po wojnie będzie światem rządzący zespół trzech wielkich potęg, Stany Zjednoczone, Imperium Brytyjskie i Rosja, — powiedział jen. Smuts, — a w tym zespole najdonioślejszy będzie wzrost potęgi Rosji.

Jak malarz biegły w uwypukleniu obrazu, wtrąciwszy w szaryżnię nie tylko narody szaraczki ale także pawloną Francję i zbieśniał Wielką Brytanię, nie szczędził barw w wysunięciu Rosji: „Rosja jest nowym kolosem w Europie... i zajmie w niej stanowisko jakiego nie miał nigdy żaden kraj w toku dziejów Europy”.

Jeśli się pamięta, że jednak w tej Europie Karol Wielki władał od Atlantyku i Tybru po Odrę i Cise, Karol V również w podobnie wielkim obszarze, Napoleon I niemal wszędzie aż po Rosję, trzeba sobie powiedzieć, że użyte przez jen. Smutsa określenie, iż Rosja będzie miała w Europie jeszcze większe stanowisko, znaczy dużo.

Cóż więc jen. Smuts chciał najbardziej wyudatnić i wręć stałe w umyśle? Krótko mówiąc, to, że wprawdzie światem będzie rządził zespół trzech mocarstw, amerykańsko-brytyjsko-rosyjski, ale w tym zespole nie będzie równowagi, gdyż na bardzo istotnym dla równowagi w świecie ładzie Europy, lub raczej Eur-Azji, istnieje będzie przewaga Rosji.

Właściwie nie była to nawet t.zw. myśl ukryta. Wolno to wyrazić z mocno zbudowanej mowy jen. Smutsa i to tylko pozostaje w trwałym wrażeniu. Nie dziwnego, że „Yorkshire Post”, biegła w sprawach polityki międzynarodowej, jednocześnie z ogłoszeniem mowy 3 grudnia 1943 nie tala, że to jest w niej bardzo wyraźnie i najwyraźniej. Tylko dlatego nie można powiedzieć, że jen. Smuts to ścisła-pek wysokiej próby.

STANISŁAW STROŃSKI.

W poprzednim 6-stroncowym numerze (201) „Wiadomości Polskich” (9 ilustracji): *Arkady Fiedler*: Wspaniały kapitan i niezłomny statek. — *Kazimierz Wierzyński*: Do poetów. — *Jan Lechoń*: Skowronek. — *Stanisław Stroński*: Rade podstawy. Karta Atlantyka i Rada Europejska. — *Zygmunt Nowakowski*: Pieśń kur. — *Gerald de Gaury*: Polacy na Bliskim Wschodzie. Artykuł napisany specjalnie dla „Wiadomości Polskich”. — *Krzysztof Niemiński*: Proces przeszłości. — *Piotr Adamski*: Mussolini i politycy brytyjscy. — *Sztuka Hemara* w Abbey Theatre w Dublinie. — *Miscellanea*. — *Skarbnica Polska*. *Jan Baudoin de Courtenay*: O panslawizmie. *Teofil Lenartowicz*: Chorągiew słowiańska. Do grobu św. Cyryla w Rzymie. *Cyprian Norwid*: Słowianin. Do Teofila Lenartowicza.

POD NOWYM ZARZĄDEM
RESTAURACJA FRANCUSKA
LACQUILLE
79, ST. MARTINS LANE, LONDON, W.C.
Tel.: TEMPLE Bar 8768
W niedziele zamknięta

ZYGUMNT HAUPT.

Nowość!
ADAM PRAGIER
H. O. WELLS O ŚWIECIE I O POLSCE
z przedmową Camille'a Huysmansa
Cena 7s. 6d.
do nabycia w księgarniach
M. I. KOLIN (Publishers) LTD.
9, New Oxford Street, LONDON, W.C.1 31a, Castle Street, EDINBURGH

Nakładem „Dziennika Żołnierza” ukazał się zbiór wierszy
RYSZARDA KIERSNOWSKIEGO
p.t.
ZJAZD W NOWOGRODKU
Cena 2s. 6d.
do nabycia w księgarniach **M. I. KOLIN (Publishers) LTD.**
9, New Oxford Street, LONDON, W.C.1 31a, Castle Street, EDINBURGH

Pierwsze miesiące po wojnie

Przeważną część książki Bartletta*) stanowi imaginacyjny pamiętnik wydarzeń, które może przyniesie już niedaleka przyszłość. Oto wasze jutro — mówi autor czytelnikowi. Oto jak potoczą się wypadki, o ile zaważasz nie zapobieganie się groźącym niebezpieczeństwom. Jest to więc raczej ostrzeżenie, niż wizja przyszłości.

Oczywiście, czytając ten fantastyczny pamiętnik, trzeba zawsze mieć na względzie osobę i nastawienie autora. Vernon Bartlett jest typowym przedstawicielem liberalizmu angielskiego. Przez długie lata przebywał w Genewie i pozostał entuzjastą Ligi Narodów. Główną trybuną jego jest „News Chronicle”, na której łamach walczy o swoją koncepcję polityki zagranicznej. Jest entuzjastą Beneša, ma głęboką sympatię do Francji, natomiast do Polski odnosi się raczej niechętnie, aczkolwiek zetknięcie z Polakami w Rosji rozwiało wiele z jego uprzedzeń w stosunku do nas. Po Monachium zdecydował się kandydować do parlamentu jako zdecydowany przeciwnik polityki monarchistycznej, i jego wybór dużą większością głosów był pierwszą wskazówką niepopulacji polityki Chamberlaina.

Niewątpliwie więc Bartlett jest typowym przedstawicielem kół brytyjskich, nastawionych na współpracę międzynarodową i stosunkowo bardzo „kontynentalnych”.

Dodajmy jeszcze, że dużo podróżował po całym świecie i że zna dobrze Europę, Amerykę oraz Daleki Wschód.

Wszystko to zabawiło w większym lub mniejszym stopniu jego wizję przyszłych wydarzeń.

Pamiętnik zaczyna się w Londynie 30 czerwca nieokreślonego roku, raczej jednak chyba 1944. Niemcy walą się. Rewolucja w Rzeszy? Nie. Bartlett nie wierzy w rewolucję, wie bowiem jak bardzo jest ona trudna. Zalamanie się Niemiec następuje w ten sposób, że armia niemiecka w południowej Austrii poddaje się. Treba bowiem wiedzieć, że wojska sojusznicze z Włoch przekroczyły Alpy i wkroczyły do Karyntii.

Dalsze wypadki bieżą szybko. Niemcy kapitulują. Wojska sojusznicze maszerują na Berlin, nie natrafiając na opór. Tylko gdzieś niedaleko, zwłaszcza na froncie wschodnim, wojska niemieckie walcą dalej. W państwach okupowanych, we Francji, w Polsce i gdzie indziej, wzbuchają powstania.

Chaos jest cechą dominującą. Armia niemiecka poprostu składa broń, ale ni Hitler, ani naczelne dowództwo nie występuje o zawieszenie broni. Wszystko dzieje się całkiem inaczej, aniżeli to sobie wyobrażają ci, którzy zapowiadają przejęcie władzy przez generałów i ich próbę uzyskania pokoju. Nie, nikt z generałów nie chce wiązać swego imienia z kapitulacją. Hitler ginie; podczas próby ucieczki do Hiszpanii jego samolot ląduje w Rulhrze, i robotnicy wrzucają Hitlera do kotła z roztopionym żelazem. Himmler dociera do Argentyny. Długo jeszcze sojusznicy szukają będą kogoś, kto stworzyłby rząd w Niemczech; nikt nie chce się tego podjąć. Ribbentrop oraz Papen zostają aresztowani przez żołnierzy amerykańskich. Komitety rewolucyjne powstają w różnych miastach Rzeszy.

Zalamanie się Niemiec nastąpiło więc najpierw w Austrii. Front wschodni w tym czasie przebiegał wciąż jeszcze przez terytorium Rosji. Szybko wytwarza się napięcie pomiędzy Anglosasami a Rosjanami. Już dn. 8 lipca „Daily Worker” twierdzi że Anglicy i Amerykanie chcą szybko zająć Berlin, aby uprzedzić Rosjan. Ma też pretensje, że warunków okupacji Niemiec nie uzgodniono z Rosjanami. Wojska rosyjskie maszerują tymczasem szybko na zachód — w głąb Polski. „Ludzie w Londynie — notuje autor pod datą 9 lipca — są bardzo zaniepokojeni możliwością incydentów pomiędzy temi wojskami a prowizorycznym (?) rządem polskim, który przygotowuje się do odjazdu z Londynu do Warszawy”.

Z dalszych kart pamiętnika nie dowiadujemy się czy rząd polski odciekał do Warszawy. Raczej jednak wydaje się to wątpliwe, bo oto dn. 29 lipca „stanowisko Sovietów staje się znacznie jaśniejsze, choć wcale nie uspokajające. Armie rosyjskie zamierzają nadzorować terytoria od Gdańska do Stambułu. Wśród tajnych dokumentów earlskich, ogłoszonych przez Trockiego po rewolucji bolszewickiej, znajduje się żądanie, by terytorium rosyjskie sięgało aż do Odry, i niektórzy sądzą, że Stalin ma ten postulat na myśli. Ponieważ Rosjanie są jedną zorganizowaną i zdyscyplinowaną grupą ludzi w Europie wschodniej, taki marsz nie przedstawia dla armii Stalina żadnych trudności. Niektóre dzienniki amerykańskie posunęły się do tego, by sugerować, żeby wojska angielsko-amerykańskie dotarły tam pierwsze, ale większość wojsk w Europie i w basenie morza Śródziemnego, to Brytyjczycy, a żaden rząd brytyjski nie mógłby pełnić ich do wojny z Rosją”.

Przy tej okazji p. Bartlett ma pretensje do prasy polskiej, której postawa w r. 1943 skomplikowała rzekomo stosunki brytyjsko-sowieckie, aczkolwiek przyszłość Polski zależy od serdeczności tych stosunków. Chcielibyśmy mu wierzyć, że istotnie serdeczność stosunki Wielkiej Brytanii z Rosją same w sobie zabezpieczą naszą przyszłość, ale ani jego dalsze zapiski, ani wydarzenia ostatnich czasów nie dają potemu podstawy.

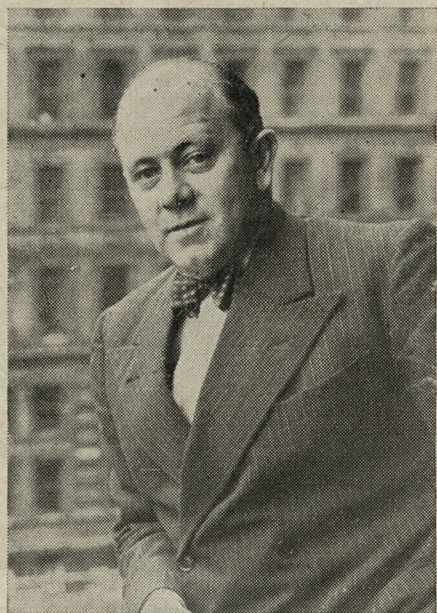
*) Tomorrow Always Comes by Vernon Bartlett. Londyn, Chatto and Windus, 1943; str. 127 i 131.

3 popularne restauracje z prawem wyszynku
BERTORELLI
19, Charlotte Street, London, W.1
tel. MUSEUM 4774
70-72, Queensway, London, W.2
tel. BAYNEAR 3150
23, Shepherds Bush Gn., London, W.12
tel. Shepherds Bush 2662

Komit Zarządzający OGNISKA POLSKIEGO podaje do wiadomości, że urządza w każdą sobotę o godz. 18.30 w budynku OGNISKA przy Belgrave Square, 45, Londyn, S.W.1, wieczór dla wojska, lotnictwa i marynarki. Na wieczór składają się: część muzyczna, wspólna kolacja i zebranie towarzyskie.
Na wieczory te zarząd Ogniska Polskiego zaprasza wszystkich żołnierzy, lotników, marynarzy i ich przynależnych. Wstęp bezpłatny.

CHIŃSKA RESTAURACJA
Chop Stick
30, Frith Street, SOHO, London, W.1
tel. GERARD 7559
otwarta w godz. 12—10 wiecz., także w niedzielę
CENY PRZYSTĘPNE

Pan Bartlett zastrzega się, że nie jest wcale pewny, czy Rosja pragnie zachować wszystkie terytoria, które okupuje. „Uwydatnianie przez nią ruchów wólnych Rumunów, wólnych Bułgarów i wólnych Węgrów świadczy, że do tego nie dąży, ale także nie chce mieć wrogich rządów w sąsiednich krajach”. Jak Bułgaria stała się sąsiadem Rosji — pozostaje tajemnicą.



VERNON BARTLETT

Wogóle sytuacja w Europie środkowej i południowej jest zagnatwana. Sojusznicy okupują Niemcy po Odry. Rosjanie zajmują Polskę i wschodnie Niemcy do Odry. W Grecji i Jugosławii, a także — jak się zdaje w Czechosłowacji, podobnie jak w krajach zachodnich — rządy wygnać powróciły do władzy. Niektórym rządom „reakcyjnym” grozi obalenie, zwłaszcza że agenci rosyjscy są bardzo czynni. Amerykańscy dziennikarze przewidują, że Amerykanie, którzy popierają „reakcje”, będą skarżyli się na niewdzięczność Europy. W rezultacie „Europa zwracać się będzie coraz bardziej ku Sovietom, a Ameryka odwracać od nich. Grunt będzie przygotowany dla następnej wojny światowej”.

Jeśli chodzi o satelitów Niemiec, ich los jest znacznie lepszy od losu Polski. W Bułgarii, w Rumunii i na Węgrzech urzędują dawne władze, a sojusznicy nie wtrącają się do niczego.

Ale wróćmy do Polski. Dn. 10 sierpnia autor notuje rosnące zaniepokojenie Foreign Office u milicjonem Rosji w sprawie Polski. Wypowiedziana jest obawa, że „Rosja nadal będzie otrzymywała i ogłaszała wezwania ze strony różnych organizacji polskich o włączenie Polski jako państwa do Związku sowieckiego” przynajmniej dopóki Brytyjczycy i Amerykanie nie zaprzestają popierać na Węgrzech i gdzie indziej elementów „anty-rosyjskich”.

Niewiele zresztą wiadomo co się dzieje pod okupacją rosyjską, gdyż Rosjanie nikogo nie wypuszczają. Dochodzą tylko wieści, że walcą się „bandy niemieckie i polskie; naogół walcą one ze sobą, ale czasem łączą się by przeciwstawić się Rosjanom”.

Dalej fantazja Bartletta, jeśli chodzi o naszą przyszłość, nie sięga. Zbiera się wprawdzie konferencja pokojowa, ale do końca nie wiemy, jak się rozwiną wypadki na okupowanych przez Rosjan ziemiach Polski. Może lepiej nie wiedzieć?

Okupacja rosyjska nie jest jednak jedyną plagą, która dotyka Polskę. Jest jeszcze głód i epidemie. Bartlett odmalowuje tragiczny obraz Europy, w której szerzą się wszelkie choroby i ludzie umierają z głodu. Jak ongi „hiszpanka”, tak teraz szaleje „polska grypa”, na którą zapada nawet premier Churchill, co nie pozwala mu na uczestniczenie w konferencji pokojowej. Freud

zapewno dopatrzyłby się w przezwaniu tej przewidywanej epidemii „polską grypą” jakiegoś kompleksu. Pan Bartlett czuje, że sprawa Polski będzie wielką troską, może nawet wyrzutem sumienia dla świata. Że jeżeli Polska wyjdzie skrzywdzona z wojny, świat nie zagna ani prawdziwego spokoju, ani moralnego zdrowia. I chyba dlatego — może w nieświadomej przenośni — ukuwa pojęcie „polskiej grypy”, która jest plagą ludzkości... Tyfus też dziesiątkuje ludność Europy. Znowu Polska jest „wyróżniona”: przedstawiciel UNRRA umiera w Polsce na tyfus. UNRRA robi co może, ale natrafia na ogromne trudności i niebardzo może dać sobie radę. Podczas gdy rosną rozdziewki między Anglosasami a Rosjanami, również stosunki brytyjsko-amerykańskie psują się bardzo szybko. W Wielkiej Brytanii słabnie szybko zainteresowanie wojną z Japonią; co więcej, ofensywa w Burnie nie daje rezultatu. W Europie pomiędzy Brytyjczykami i Amerykanami powstają niesnaski. W Stanach Zjednoczonych wzmagają się tendencje izolacjonistyczne. Prestiż Ameryki w krajach europejskich szybko spada.

Szczególnie wielkie jest rozgoryczenie Francuzów do Amerykanów. Nie mogą oni darować Ameryce Darlana i zwalczania de Gaulle'a. Do Brytyjczyków mają pretensje, że brytyjski kontrtorpedowiec uratował Pétaína. Z innymi „współpracownikami” Francuzi szybko się uporali: zdobyli szturmem więzienie Cherche-Midi i powiesili Laval'a wraz z jego przyjaciółmi.

Biorąc to wszystko pod uwagę, nie można się dziwić, że wstępna konferencja pokojowa, która zbiera się w Waszyngtonie, toczy się w atmosferze raczej burzliwej. Jednym z jej rysów najbardziej charakterystycznych jest antagonizm pomiędzy wielkimi mocarstwami z jednej strony a mniejszymi państwami z drugiej. Gen. de Gaulle występuje jako rzecznik mniejszych państw i spotyka się z hucznymi oklaskami. W końcu de Gaulle grozi opuszczeniem konferencji i zwołaniem konkurencyjnej do Brukseli lub Paryża. Nosi się on, jakoby przy poparciu Rosjan, z planem rozwiązania spraw europejskich bez interwencji państw pozaeuropejskich, jak Wielka Brytania i Stany Zjednoczone.

Dn. 15 listopada pośrodku konferencji Bartlett kończy swój imaginowany notatnik. Jest zgorzkniały, rozczarowany, ma wszystkiego dość.

Koniec pamiętnika nie jest końcem książki. W ostatnim rozdziale Bartlett polemizuje niejako sam ze sobą i tłumaczy, dlaczego jednak przyszłość nie będzie taka czarna, jakby to zapowiadał jego pamiętnik. Niektóre jego argumenty są przekonujące, inne mniej. Jego recepta na ułożenie stosunków pomiędzy wielkimi a małymi państwami jest całkiem rozsądna. Ale są zagadnienia, które odmawiał w swym pamiętniku w barwach ponurych, a wobec których staje bezradny. W polemice z samym sobą nie próbuje nawet twierdzić, że myśli w swym pamiętniku, ani też nie wskazuje jak pewnym zjawiskom zaradzić. Najbardziej tajemniczość objawia się w stosunku do zagadnienia rosyjskiego. Wprawdzie we wstępnych rozważaniach wyraża przekonanie, że Rosja nie będzie dążyła do ekspansji, i cytując ostrzeżenie Lippmanna, według którego „polityka rosyjska, zmierzająca do nabytków terytorjalnych w Europie i zagrabiania narodowej wolności sąsiadów, musi być nieuchronnie być uznana przez Wielką Brytanię i Amerykę za taką groźną, że zaczęłyby wspierać narody opieszałe się Rosji”, ale później przekreśla wszelkie możliwości działania Wielkiej Brytanii formułką, że „Wielka Brytania i Rosja nie mogą sobie pozwolić na spór”.

Zamyka się tę książkę w rezultacie z uczuciem przygnębienia. Optymistyczne konkluzje nie mogą zatrzeć ponurej wizji przyszłości. Jeżeli naprawdę takie ma być jutro, czyż wojna nie toczy się naprawdę?

ALEKSANDER BORAY.

COSMO RESTAURANT

5-6, North Ways Parade, London, N.W.3

niedaleko Swiss Cottage (stacji kolei podziemnej) tel. PRImrose 2627

Pierwszorzędna kuchnia domowa

Potrawy angielskie, polskie i wiedeńskie

Ciasta domowe Menu od 1/6 zwyż Miła atmosfera

Otwarta od godz. 9 rano Ciepłe potrawy do godz. 11 wieczorem

Postulaty „dobrych” Niemców

Do niedawna Niemcy, którzy chcieli uchodzić w oczach świata anglosaskiego za „dobrych”, musieli powoływać się na swój antyhitlerizm. Milecący wyjątek czyniło się tylko dla Ottona Strassera, który jest antyhitlerowcem niejako prywatnie, ale pozatem wyznaje na swój sposób ortodoksalne zasady narodowego socjalizmu. Od niejakiego czasu, a szczególnie od utworzenia w Moskwie Komitetu Wolnych Niemiec i Niemieckiego Związku Oficerów, wymagania się obniżają. Gen. von Seydlitz, który przemawia do Moskwy imieniem tego Związku, ma do zarzucenia Hitlerowi tylko tyle, że nie umie on dobrze prowadzić wojny o podobą świata.

Na tle tego obniżonego poziomu wymagań względem „dobrych Niemców”, propaganda Czwartej Rzeszy w krajach sprzymierzonych mniej się musi kłopotować. Nie słychać już o zbliżaniu się rewolucji społecznej Niemców, o sile demokracji niemieckiej i o oporze zbrojnym ludu niemieckiego przeciwko ciemnościom hitlerowskim. Na czoło wysuwa się natomiast znaczenie, jakie będą miały silne Niemcy w przyszłej strukturze Europy i świata.

Jednym z przykładów tej nowej propagandy jest właśnie „Germany's Road to Democracy” (**). Jest to praca zbiorowa, napisana przez sześciu autorów różnego pokroju i zaopatrzona wstępem redaktora Fraenkel. Można pominąć spokojnie czterech autorów: liberała Augusta Webersa, prof. Artura Lieberta, panią Irmgard Litten, nieszczyzną matkę adwokata Littena, jednej z licznych ofiar terroru w Niemczech, i bezimiennego pastora. Mówią oni rzeczy banalne i do niczego nie obowiązujące. Rola ich, choć ubożna, jest jednak nie obojętna. Mają do spełnienia w tej broszurze rolę przesłaniania dwu innych rozdziałów, które stanowią rdzeń polityczny

książki. Jeden z nich napisany jest przez Victora Schiffa, jednego z redaktorów berlińskiego „Vorwärts’a”, drugi — przez komunistę Wilhelma Koena. Ten napisał swoją rozprawę w formie odpowiedzi na pytania i podkreśla, że stanowisko, które zajmują, uzgodnił uprzednio ze swoimi przyjaciółmi przybywającymi w Moskwę. Odpowiedzi jego są tedy niejako wyrazem stanowiska komunistycznej części Komitetu Wolnych Niemiec.

Schiff uważa, że prawdziwa stabilizacja pokoju w Europie powinna być oparta na współpracy Niemiec, Rosji i Francji. Gwarantem takiej współpracy byłoby rządy tego samego typu w tych państwach, jednakże nie komunistyczne, lecz podobne raczej do rządu Frontu Ludowego w Hiszpanii. Inaczej trzeba by Niemcy okupować co najmniej na pięćdziesiąt lat, a na to świat nie może sobie pozwolić. Schiff niebardzo liczy na rewolucję w Niemczech przed końcem wojny, natomiast sądzi, że po wojnie potrzebna jest długotrwała rewolucja, niejako w stanie ciągłym, dla wytrzeźwienia hitlerizmu. Co się tyczy międzynarodowego statutu Niemiec, Schiff żąda przywrócenia granic sprzed r. 1938. Od Polski żąda tego samego co Hitler: przyłączenia do Niemiec Gdańska, części Pomorza i przeprowadzenia przez „zwężony korytarz polski” eksterytorjalnych dróg i kolei niemieckich. Ponadto zastrzega się przeciw możliwości przyznania Polsce jakichkolwiek obszarów niemieckich tytułem kompensaty za „nieumiejętne ustępstwa polskie na Wschodzie”. W tym wypadku, powiada, nie powstałby w Niemczech po wojnie żaden rząd złożony z poważnych demokratów, i zwycięzcy nie wiedzieliby co począć z Niemcami, nie mającymi żadnego rządu nadającego się do rokowań. Groźba ta wydaje się Schiffowi tem bardziej realna, że jak zapewnia, Niemcy mają dane do tego, by po zniszczeniu sił Trzeciej Rzeszy, stały się natychmiast demokracją. Co się tyczy znaczenia tego wyrazu. Te demokratyczne Niemcy powinny zaraz po wojnie wejść w skład odrodzonej Ligi Narodów i federacji europejskiej. Niebardzo wiadomo jak to pogodzić z poglądem, że po wojnie rewolucja ma trwać w Niemczech przez czas długi. Czyżby Niemcy miały stać się pełną de-

Czy potomkowie Jana III?

Syn angielskiego Jakoba II, Jakób Stuart (1688-1766), t.zw. „pretendent starszy”, ożenił się w r. 1719 z Marią Klementyną (1702-1735), córką Jakoba Sobieskiego, syna Jana III, i księżniczki neuburskiej Elżbiety Anny. Z małżeństwa tego zrodził się syn, Karol Edward (1720-1788), t.zw. „pretendent młodszy”, który przybrał potem tytuł hrabiego Albany. Ożenił się on z Louisa de Stolberg, ale nie pozostawił potomka. W polowie ub. w. znaleźli się jednak w Szkocji dwaj bracia, którzy twierdzili, że ojciec ich jest nieprawym synem Karola Edwarda, i z tego tytułu przybrali nazwisko Stuart Sobieskich. Zajmujący wizerunek braci nakreślił Sacheverell Sitwell i



JOHN SOBIESKI STUART

Francis Banford w książce „Edinburgh”, wydanej w r. 1938 przez firmę Faber and Faber w Londynie. Wizerunek ten dajemy niżej w przekładzie, uzupełniając go szeregiem ilustracji, zaczerpniętych ze wspomnianych książek oraz z pracy Hugh Beveridge’a „The Sobieski Stuarts” (Liverpool, Robert Carruther, 1909).

Dwaj bracia Sobiescy Stuart należeli do najbardziej romantycznych i zajmujących mieszkańców Edynburga; żyli oni tak stosunkowo niedawno, że dotąd wielu ludzi jeszcze ich pamięta; pełne brzmienie ich nazwisk było: John Sobieski Stolberg Stuart i Charles Edward Stuart. A oto ich genealogia. Niejaki John Carter Allen, „Admiral of the White”, zmarł w r. 1800 przy Devonshire Place w Londynie, pozostawiając dwóch synów, kapitana marynarki królewskiej Johna Allena i Thomasa Allena, który miał rangę trzeciego porucznika tej samej marynarki królewskiej. Starszemu synowi ojciec zapisał £2200, a młodszemu £100. Ten młodszy syn, Thomas Allen, ożenił się w 1792 r. w Godalming z Katarzyną Manning, córką tamtejszego proboszcza. W 1822 r. ów Thomas Allen używał bądź nazwiska „Thomas Hay Allen of Hay”, bądź też tytułu „James, hrabia d’Albanie”. Ten to właśnie Thomas Allen był ojcem dwóch braci Sobieskich Stuart.

Synowie ci tłumaczyli swoje pochodzenie jak następuje. W r. 1773 „młodszym pretendentowi” Karolowi Edwardowi i jego żonie, księżniczce Luizie von Stolberg, urodził się syn. Twierdził, że to dziecko było właśnie ich ojcem, znanym jako Thomas Allen, który jak się zdaje, sam wysnuwał to pretensję, tytułując siebie hrabią d’Albanie”; ale wydaje się prawdopodobne, że ta teoria została staremu mówiona przez jego synów. Jakkolwiek tam było, Thomas Allen, ojciec naszych bohaterów, zmarł w r. 1852 w domu pod nr. 22 przy Henry Street, w Clerkenwell — przyczem, złożony chorobą, nie opuszczał swego pokoju przez ostatnich siedem lat swego życia.

Starszy z naszych dwóch braci, John Sobieski Stuart, ogłosił w r. 1822 tonik wierszy p.t. „The Bridal of Caolchaim”, w którym znajduje się wiele ustępów napomykających o jego królewskim pochodzeniu. W parę lat później obaj bracia wspólnie wydali bardzo oryginalny zbiór wierszy „Lays of the Deer Forest”, pełen aluzji do nich samych. W zbiorze ten twierdził, że walczyli w armjach Napoleona, w szczególności mieli

*) „Admiral of the White” — stopień admirałski w w. XVIII, mniej więcej odpowiadający dzisiejszemu kontradmirałowi (przytłum.).

Niemców

molkracją, zanim jeszcze ta rewolucja się skończy? Schiff wyraźnie przestrzega przed wszelką zwłoką w dopuszczeniu powojennych Niemiec do współzawodzenia Europą i światem i doradza, jak sam to nazywa, „Blitz-Reconciliation”. O tem, jak sobie wyobraża wewnętrzny stan Niemiec po wojnie, wskazuje najlepiej dwie jego tezy: 1) potencjał gospodarczy Niemiec ma pozostać nienaruszony, przyczem gwarancją pokojowości będzie unarodowienie przemysłu; 2) stopa życiowa ludności niemieckiej nie powinna być wyższa niż stopa życiowa ludności Francji i Wielkiej Brytanii. Oznacza to w praktyce, że Niemcy mają nie płacić żadnych odszkodowań i że mają mieć stopę życiową równą najbogatszym narodom.

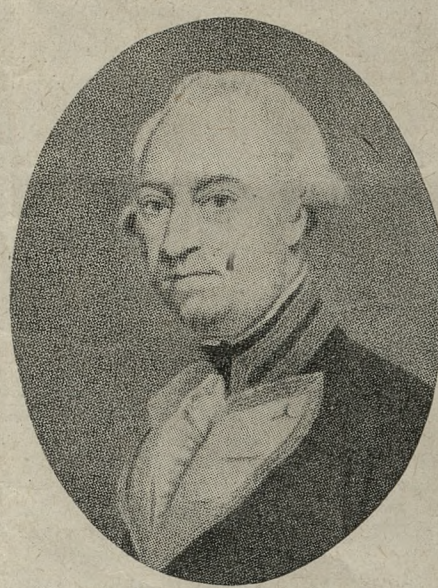
Koenen w swoich odpowiedziach utrzymuje się całkowicie w stylu nowej propagandy komunistycznej. Nie mówi zatem o walce klasowej i wychwala demokrację. O planowaniu pisze bardzo ostrożnie. Konfiskatę własności prywatnej uważa za dopuszczalną tylko tytułem kary za przestępstwa. Chce zachować drobną własność („własność ludu”). Przemysł wojenny powinien być zachowany na cele pokojowe. Rządy w Niemczech chciałyby widzieć zbudowane według zasady Lincoln’a: „Government of the people, by the people, for the people”. Powołuje się pozatem na zdanie Stalina o niemożliwości zniszczenia ras na zawsze sił wojennych niemieckich i doradza rozwiązanie tylko S.S. i Gestapo oraz usunięcie starej administracji — i zastąpienie jej przez nową. Wielką wagę przywiązuje też do demobilizacji moralnej.

Jak widać, praktycznie wskazania, mające do wszystkiego wynikać dla świata anglosaskiego, są takie: — trzeba po wojnie zachować pobite Niemcy w Europie jako mocarstwo; — w szczególności, nie trzeba czynić nic takiego, aby ras na zawsze przeskodziło odbudowaniu ich gotowości wojennej. Gwarantując pokojowości nowych Niemiec ma być demokracja. Mówią o tem przedstawiciele dwóch ugrupowań, z których jedno młodej demokracji niemieckiej po pierwszej wojnie światowej bronić nie umiało, a drugie — nie chciało.

PIOTR ADAMSKI.



KSIĄŻĘ KAROL EDWARD



JOHN CARTER ALLEN



KSIĄŻĘ KAROL EDWARD (z dziełka „Kostjmy klanów”)



ALAN KAYE I KIAN QUATTAN (z dziełka „Kostjmy klanów”)

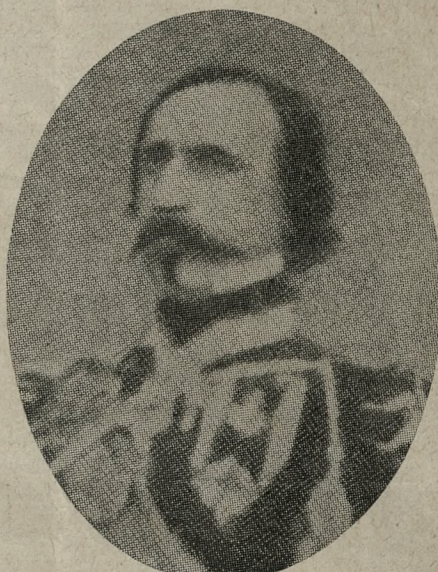
brać udział w bitwie pod Lipskiem. W okra-

nie, w którym ten zbiorek wydano, wiele osób w Szkocji już uwierzyło w romantyczne pochodzenie autorów. Obaj bracia byli wyjątkowo dystyngowani, zarówno w sposobie bycia jak i w wygłądzie. W szczególności, zdolali oni nakłonić lorda Lovata do zainteresowania się ich twierdzeniem, że pochodzą od Stuartów; lord ów dał im do dyspozycji stodołę, chociaż nawet nie odgrywali w niej żadnej esencjonalnej roli i byli tylko duchami, cioniami na jej murach. Zawsze znajdowało się kilka osób, które będą się nim interesowały, i być może, domysły i poszukiwania co do ich prawdziwego pochodzenia nigdy nie ustają.

Dzieje Edynburga, które są związane z szeregiem królewskich cieni, jak np. z wygnanym królem Francji Karolem X, nie mogą pominąć tych dwóch braci. Malowniczo, szczególnie ich żywoty, tajemnica, która się otaczała, oraz wyraźny ich urok osobisty — wszystko to sprawia, że powinni oni mieć swe miejsce w dziejach szkockiej stodoły, chociaż nawet nie odgrywali w niej żadnej esencjonalnej roli i byli tylko duchami, cioniami na jej murach. Zawsze znajdowało się kilka osób, które będą się nim interesowały, i być może, domysły i poszukiwania co do ich prawdziwego pochodzenia nigdy nie ustają.

Tak pokrótce wygląda dzieje braci Sobieskich Stuart. Będą one zawsze zajmujące jako pamiętki epoki romantyzmu. Niestety, wydaje się niemal pewne że ich twierdzenia były bezzasadne; lecz okoliczność ta nie zmniejsza naszego zainteresowania charakterem czy zewnętrznymi wa-

runkami braci, albowiem ludzie, spędzający całe życie w tego rodzaju złudzeniach stają się stopniowo i powoli prawie bardziej podobni do oryginału, który naśladują, niż byłoby to możliwe w wypadku gdyby rzeczywiście byli potomkami domniemanego protoplasty. Naprzykład, dotąd rodzina Naudorffów, która twierdzi iż pochodzi od Delfina, i podziśien żyje w Belgii, odznacza się zdumiewającym podobieństwem do Bourbonów. A nadto, o ile chodzi o Sobieskich Stuartów, prawdziwość ich twierdzenia nie jest całkowicie wykluczona. Jest rzeczą możliwą, choć bardzo wątpliwą, że istotnie bracia ci pochodzili od Stuartów. W



CHARLES EDWARD STUART

znadnym wypadku nie byli to oszuści, albowiem nigdy nie wyzyskiwali finansowo swych pretensyj. Jak mówili, wiele osób wierzyło w ich pochodzenie. Wiechhabia d’Arlincourt, rojalista francuski, bardzo romantycznie opisał wrażenie, które robili swą powierzchownością, oraz czar i tajemniczość, jaką rozczuli dookoła siebie.

Najbardziej interesującym dziełem ich życia była gruba książka „Stroje klanów”. Wydał ją bracia w r. 1845, w setną rocznicę ostatniego powstania szkockiego; drugie wydanie ukazało się w r. 1892. Pierwsze wydanie, które dotąd istnieje z planszami zarówno zwykłymi jak kolorowymi, nie miało powodzenia, dzięki temu, że ilustracje, wykonane przez obu braci, były przez wielu uważane za groteskowe. Rysunki były wykonane ręcznie, a niektóre plany robią niewątpliwie wrażenie dziwaczne i cudaczne. Ale dzisiaj, gdy rysunki dziecinne są tak bardzo podziwiane i gdy naiwno wysiłki niewykształconych artystów spotykają się często z zasłużonym uznaniem, nie można odmówić Johnowi Sobieskiemu Stuart dużego temperamentu i wyobraźni. W rzeczy samej, książka ta należy do najbardziej uroczych zabytków epoki romantycznej, oryginalne zaś dzieło autorów, i wydanie jej w setną rocznicę powstania, jakby dla upamiętnienia ich romantycznych pretensyj, zapewnia jej trwałe choć skromne miejsce w dziejach literatury i sztuki. W każdym wypadku ta książka jest znacznie bardziej dziełem sztuki niż McLana „Costumes of the Clans”, również poświęcone strojom szkockim. Badacze przeszłości wysniewają się z historycznych niedokładności zarówno w tekście jak i w rysunkach, ale jedna czy dwie plansze wskazują na polot wyobraźni, rzadki w dziełach sztuki szkockiej. Jest to z pewnością — co było zresztą zamiarem autorów — książka wysoko artystyczna, poświęcona strojom klanów, i egzemplarz pierwszego wydania z kolorowymi planszami należy do białych kruków; dlatego ona, która osiąga na rynku, wydaje się niska. Rzadko się zdarza, by ofiary urojów historycznych dawały wyraz konkretnym swym marzeniom, a książka ta właśnie przedstawia jeden z takich wypadków. Ponadto jest to pamiętka po dwóch braciach, z których, pomimo ich dziwactw, nikt się nigdy nie wyśmiewał i którzy, jak się zdaje, byli zawsze traktowani z pobłażliwą sympatią, czy nawet z czemś więcej. Wielu ludzi poczuło uwadze ich twierdzenia za słuszne. Sami zaś bracia, w miarę jak się starzeli, coraz mocniej wierzyli w swoje królewskie pochodzenie; ta zagadka psychologiczna i ta dziwaczność mogłaby stanowić doskonały temat dla autora dramatycznego. Cóż ich życie przypominało sytuację, którąby mogła być bardzo negacją dla jakiegoś Pirandella. Trzeba pamiętać, że w owym czasie w Szkocji przywiązanie do Stuartów było jeszcze niesłychanie silne. W owych latach jeszcze nie wszystkie majątki dawnych jakobitów (zwolników Stuartów — przyp. tłum.) zwrócono potomkom wydziedziczonych właścicieli. Niektóre rodziny dopiero niedawno powróciły ze stuletniego wygnania, a w kilku wypadkach jeszcze przeżywały zagranicą. Setna rocznica powstania była obchodzona w Szkocji z dużym napięciem uczuciowym. Nic dziwnego, że bracia Sobiescy Stuart łatwo mogli znaleźć posłuch i audytorja, które sympatyzowały z ich złudzeniami.

Dzieje Edynburga, które są związane z szeregiem królewskich cieni, jak np. z wygnanym królem Francji Karolem X, nie mogą pominąć tych dwóch braci. Malowniczo, szczególnie ich żywoty, tajemnica, która się otaczała, oraz wyraźny ich urok osobisty — wszystko to sprawia, że powinni oni mieć swe miejsce w dziejach szkockiej stodoły, chociaż nawet nie odgrywali w niej żadnej esencjonalnej roli i byli tylko duchami, cioniami na jej murach. Zawsze znajdowało się kilka osób, które będą się nim interesowały, i być może, domysły i poszukiwania co do ich prawdziwego pochodzenia nigdy nie ustają.

Dzieje Edynburga, które są związane z szeregiem królewskich cieni, jak np. z wygnanym królem Francji Karolem X, nie mogą pominąć tych dwóch braci. Malowniczo, szczególnie ich żywoty, tajemnica, która się otaczała, oraz wyraźny ich urok osobisty — wszystko to sprawia, że powinni oni mieć swe miejsce w dziejach szkockiej stodoły, chociaż nawet nie odgrywali w niej żadnej esencjonalnej roli i byli tylko duchami, cioniami na jej murach. Zawsze znajdowało się kilka osób, które będą się nim interesowały, i być może, domysły i poszukiwania co do ich prawdziwego pochodzenia nigdy nie ustają.

Dzieje Edynburga, które są związane z szeregiem królewskich cieni, jak np. z wygnanym królem Francji Karolem X, nie mogą pominąć tych dwóch braci. Malowniczo, szczególnie ich żywoty, tajemnica, która się otaczała, oraz wyraźny ich urok osobisty — wszystko to sprawia, że powinni oni mieć swe miejsce w dziejach szkockiej stodoły, chociaż nawet nie odgrywali w niej żadnej esencjonalnej roli i byli tylko duchami, cioniami na jej murach. Zawsze znajdowało się kilka osób, które będą się nim interesowały, i być może, domysły i poszukiwania co do ich prawdziwego pochodzenia nigdy nie ustają.

Dzieje Edynburga, które są związane z szeregiem królewskich cieni, jak np. z wygnanym królem Francji Karolem X, nie mogą pominąć tych dwóch braci. Malowniczo, szczególnie ich żywoty, tajemnica, która się otaczała, oraz wyraźny ich urok osobisty — wszystko to sprawia, że powinni oni mieć swe miejsce w dziejach szkockiej stodoły, chociaż nawet nie odgrywali w niej żadnej esencjonalnej roli i byli tylko duchami, cioniami na jej murach. Zawsze znajdowało się kilka osób, które będą się nim interesowały, i być może, domysły i poszukiwania co do ich prawdziwego pochodzenia nigdy nie ustają.

Dzieje Edynburga, które są związane z szeregiem królewskich cieni, jak np. z wygnanym królem Francji Karolem X, nie mogą pominąć tych dwóch braci. Malowniczo, szczególnie ich żywoty, tajemnica, która się otaczała, oraz wyraźny ich urok osobisty — wszystko to sprawia, że powinni oni mieć swe miejsce w dziejach szkockiej stodoły, chociaż nawet nie odgrywali w niej żadnej esencjonalnej roli i byli tylko duchami, cioniami na jej murach. Zawsze znajdowało się kilka osób, które będą się nim interesowały, i być może, domysły i poszukiwania co do ich prawdziwego pochodzenia nigdy nie ustają.

Dzieje Edynburga, które są związane z szeregiem królewskich cieni, jak np. z wygnanym królem Francji Karolem X, nie mogą pominąć tych dwóch braci. Malowniczo, szczególnie ich żywoty, tajemnica, która się otaczała, oraz wyraźny ich urok osobisty — wszystko to sprawia, że powinni oni mieć swe miejsce w dziejach szkockiej stodoły, chociaż nawet nie odgrywali w niej żadnej esencjonalnej roli i byli tylko duchami, cioniami na jej murach. Zawsze znajdowało się kilka osób, które będą się nim interesowały, i być może, domysły i poszukiwania co do ich prawdziwego pochodzenia nigdy nie ustają.

Dzieje Edynburga, które są związane z szeregiem królewskich cieni, jak np. z wygnanym królem Francji Karolem X, nie mogą pominąć tych dwóch braci. Malowniczo, szczególnie ich żywoty, tajemnica, która się otaczała, oraz wyraźny ich urok osobisty — wszystko to sprawia, że powinni oni mieć swe miejsce w dziejach szkockiej stodoły, chociaż nawet nie odgrywali w niej żadnej esencjonalnej roli i byli tylko duchami, cioniami na jej murach. Zawsze znajdowało się kilka osób, które będą się nim interesowały, i być może, domysły i poszukiwania co do ich prawdziwego pochodzenia nigdy nie ustają.

Dzieje Edynburga, które są związane z szeregiem królewskich cieni, jak np. z wygnanym królem Francji Karolem X, nie mogą pominąć tych dwóch braci. Malowniczo, szczególnie ich żywoty, tajemnica, która się otaczała, oraz wyraźny ich urok osobisty — wszystko to sprawia, że powinni oni mieć swe miejsce w dziejach szkockiej stodoły, chociaż nawet nie od

Blaski i nędze życia sprzymierzeńców

Redaktor „Nineteenth Century”, F. A. Voigt, stwierdza w numerze styczniowym że w prasie brytyjskiej coraz bardziej występują oznaki „złagichszaltowania” jej przez Foreign Office. Czujemy dzisiaj na własnej skórze aż nadto dobrze, do jakiego stopnia uzasadniony jest głos świętego publicysty, który najnowszą swoją artykuł poświęcił w całości sprawie Jugosławii, głównie konfliktowi Michajłowicz-Tito.

Sprawa ta przez dłuższy czas nie schodziła z łamów prasy brytyjskiej, choć w ostatnich tygodniach w związku z rewelacyjnymi szczegółami, które dotyczą działalności i osoby Tito, reklama tego „marszałka” posługiwać się musi sordynką. To pewna, że do niedawna jeszcze rząd jugosłowiański był rządem legalnym a Michajłowicz był bohaterem. Nagle dekoracja się zmienia, i zmieniają się aktorzy. Jugosłowiański rząd przestaje być rządem legalnym a na Michajłowicza spada zarzut, jakoby zdradzał sprawę sprzymierzonej i działał w porozumieniu z Hitlerem czy z Włochami. Nagonka rośnie, zwłaszcza w ciągu grudnia 1943 r., gdy to „Observer” (26 grudnia) błyskawicznie zdegradował króla Piotra i położył sekwestr na jugosłowiańskim zlocie, znajdującym się w... Ameryce.

Jeśli tak poważne pismo pozwoliło sobie na ten wybrzyk, czegoż wymagać od innych, więc np. od „New Chronicle” albo od „Tribune”? Przykład idzie z góry, dlatego też w „News Chronicle” (29 grudnia) pojawia się niesmaczna karykatura, przedstawiająca Europę z miotłą w ręku: wyrzuca ona na śmiecie rządy jugosłowiański i grecki wraz z królem — coż za połączenie! — włoskim. W „Tribune” natomiast (17 grudnia) znalazła się trywialna kolenda o trzech królach, których „królestwa leżą daleko, a nigdy nie było trzech królów bardziej niepopularnych”. Wiersz jest lichi, sensu w nim za pół pensa, skoro właśnie król włoski, wspólnik Hitlera, znajduje się na terytorium Włoch, podczas gdy proalijscy królowie grecki i jugosłowiański, obaj będący ofiarami najeźdy, musieli opuścić swe królestwa.

Sprawa konfliktu Michajłowicz-Tito zajęła w właściwą sobie, nieubłaganą logiką i miarzącą argumentacją Voigt we wspomnianym artykule, gdzie zdradza pewne szczegóły, dotyczące „tajnej” stacji nadawczej „Słobodna Jugosławia”, znajdującą się o tysiące mil od Jugosławii, to w... Tyfisie. Wypadek ten, jak wiadomo, nie jest odosobniony. Niemniej, jak pisze Voigt, to właśnie radiostacja o wysocy podejrzanej autentyczności znajduje łaskę w oczach B.B.C., podczas gdy komunikaty Michajłowicza, nadawane istotnie gdzieś w głębi gór Jugosławii, radio brytyjskie przemleża z żelazną konsekwencją.

Voigt lubi rzeczy i ludzi nazywać po imieniu, dlatego też działalność Tito i jego band określa bez ogródek jako akcję o charakterze wywrotowym. Sam Tito ma za sobą przedświadeł moskiewskie, następnie udział w wojnie hiszpańskiej, jest on zaś człowiekiem pozbawionym jakiegokolwiek wartości, jest to zero („a nonentity — nothing”), jego premierostwo jest równie dziwne pochodzenia, jak tytuł „marszałka”, nieznany i nieużywany przez nikogo przedtem w Jugosławii.

Równie kiego i podejrzanie przedstawia się najbliższy stąb Tito, więc np. reżyser Augustinović, m.in. twórca popiersia Mussoliniego. Popiersie to zostało wrzucenie Duce osobiste przez samego Pavełića! Ruce kryminalnie wyglądająca generała innych członków tak popularnego dziś „rządu” Tito. Jeden z „ministrów”, Filić, powiódł, to zbrodniarstwo wojenne, który powinien stanąć przed sądem, pośród zaś kolegów jego, „ministrów”, znajduje się

jakiś prorok i okultysta dziwnego autoramentu, równie jak pewien wydawca tygodnika zagadek-krzyżówek. Cały rząd Tito, to jedno wielkie oszustwo, pozbawione wszelkiego poparcia a utrzymujące się tylko dzięki terrorowi. Siła zbrojna jest pseudorządem składająca się w 90% z komunistów, którzy rabują i mordują zamożniejszych chłopów i ustanawiają miejscowe władze administracyjne o charakterze ścisłe komunistycznym.

„Marszałkowi” Tito przeciwstawia Voigt prawdziwy element oporu wobec okupantów, czyli wojnę podjazdową, prowadzoną przez serbskich „czetników”, pod dowództwem Michajłowicza, który jest ministrem wojny legalnego rządu jugosłowiańskiego. W przeciwieństwie do Tito, Michajłowicz nie jest wytworem podejrzanego propagandy, lecz reprezentuje siłę realną i pozytywną, która przez zgórą trzydziści miesięcy potrafiła trzymać front przeciw obu okupantom, mając za sobą poparcie całego narodu serbskiego.

O ile Tito, zdradca stanu i apostoł komunistycznej tyranii, cieszy się poparciem prasy brytyjskiej, o tyle Michajłowicza ta sama prasa pragnie pomniejszyć, choć podług Voigta, „w całej Europie niema drugiej postaci równie sugestywnej, jak ten samotny bojownik gór Serbji i Czarnogóry, bojownik, walczący przeciwko takiej przewadze, że sam fakt, iż dotychczas żyje, wydać się musi czemś niemal graniczącym z cudem”.

Jeśli katolicka „Tablet” potępiała dwulicowość polityki, stosowanej wobec Jugosławii (por. nr. 200 „Wiadomości Polskich”), oraz jeśli humanista i demokrat, Voigt, zdemaskował bez litości podstawy, na których opiera się naga, błyskawiczna a więcej niż podejrzana karjera „marszałka” Tito, inne zgola stanowisko zajął dwutygodnik, który, o ironio, nosi tytuł „Free Europe”. Pismo to, jeszcze z samym początkiem grudnia 1943 r. broniło gen. Michajłowicza przed krzywdzącą polityką B.B.C., lecz już w numerze z dn. 17 grudnia redaktor, wróg romantyzmu w polityce a zwolennik jak najdalej we wszelkich ustępstwach idącej trzeźwości, przerzucił się bezwzględnie na stronę Tito. Dwa tygodnie wystarczyły zupełnie, by dokonała się metamorfoza!

Według „Free Europe”, niedawno tak gorąco bronił przez nią, Michajłowicz, oddał swej ojczyźnie „wątliwą przysięgę”. Względem całej Michajłowicz, to tylko „mit”, człowiek reprezentujący dyktaturę, centralizm, reakcję i inne grzechy główne, podobnie jak te same grzechy reprezentuje rząd jugosłowiański, który zastąpił na swój los. „Free Europe” lubi w sposób niezmiennie naiwny upraszczać każdą sytuację, dzieląc ją na punkty, a, b, c lub numery. Tak więc i teraz widzi ono tylko trzy wyjścia dla króla Piotra: 1) mianować rząd na prawdę reprezentujący całą Jugosławie i wystąpić z programem demokratycznym i federalnym; 2) szukać porozumienia z „Tito”; 3) czekać i patrzeć. Niestety, okazja, jeśli idzie o punkt pierwszy, została już przepięta. Główną przeszkodą dla punktu drugiego jest gen. Michajłowicz. Punkt trzeci, droga najmniejszego oporu, jest czasem polityką mądrą, czasem fatalną.

Cóż na to odpowiedzieć? Chyba, że: 1) redaktor „Free Europe” jest oportunistą; 2) jest człowiekiem naiwnym, wierząc w jakiegokolwiek porozumienie z typem a la Tito; 3) pismo powinno zmienić tytuł na „Shackled Europe”; 4) z ciekawością będziemy śledzić dalsze wolty redaktora, który nęgiś wiodł białej zapamiętany narodowego socjalizmu, dziś zakreślił ostrym łukiem „chrześcijańską” wachdł. Polakiem będąc, pisze o Jugosławii tak jakby nie znał przysłówia: co tobie dziś, mnie jutro.

TEL. HONG KONG GER. 6847

樓酒 香港

HONG KONG CHINESE RESTAURACJA
58-60, SHAFTESBURY AVENUE, LONDON, W.1

BOLSON'S KUPUJE I SPRZEDAJE
używane meble nowoczesne i stare,
dywany, fortepiany, kasy

Geny najwyższe

5-11, WESTBOURNE GROVE, W.2
tel.: BAYwater 2365

KRAWIEC POLSKI
M. FOX
31a, Buckingham Palace Road, London S.W.1
Tel. VICTORIA 8241

Przeróbki i przeprasowywanie mundurów.
Niewidoczne cerowanie. Na składzie polskie
odznaki i dystynkcje wojskowe.

JĘZYK ANGIELSKI
Kursy korespondencyjne. Doświadczona
nauczycielka udziela specjalnych lekcji angiel-
skiego drogi korespondencji. Poważne
zapewnienie. Proszę napisać: Tutor,
64, Finchley Ct., London, N.3

BELGRAVIA HOTEL
86 i 84, Belgrave Road, London, S.W.1
5 minut od Victoria Station, Bus No. 24
tel. VICTORIA 1649

Pokoje ze śniadaniem i kąpielą od 9s. 6d.
z kąpielą od 13s. 6d. dziennie
Woda ciepła i zimna w każdym pokoju

MISCELLANEA

OPINIA ANGIELSKA A SPRAWA POLSKI

Ton, jaki przybrała w ostatnim tygodniu większość prasy angielskiej w stosunku do Polski, świadczy jak daleko sięgnęło rozkładanie działania hasła totalnych nawet na opinie krajów demokratycznych. „Brak elementarnej lojalności wobec sprzymierzeńca” idzie w parze z pogardliwym traktowaniem podstawowych zasad prawa i moralności politycznej; o karacie atlantyckiej nikt już nawet nie wspomina, a taki prosty fakt, że poparcie żądań rosyjskich jest uświęceniem zaboru dokonanego w ścisłym porozumieniu z Hitlerem, uchodzi powszechnej uwagi. Pruskie zasady „Kraft vor dem Recht” i „Not kennt kein Gebot” zdają się świecić niepodzielny tryumf. „Daily Herald” z dn. 7 stycznia staje na nihilistycznym stanowisku, że żadne traktaty nie obowiązują, skoro dozwolony, kompromisy, wielokrotnie potwierdzany traktat ryski, gdzie Polska wzięła mniej niż Sowietów dawanie, zestawia z grabieżą, dokonaną w r. 1939 na Polsce, samotnie walczącej z nawałą niemiecką. „Reynolds News” z dn. 9 stycznia obwieściła że wprawdzie Wielka Brytania istotnie w r. 1939 zagwarantowała granice Polski, ale ponieważ uczyniła to bez porozumienia z Rosją i wbrew opinii sztabu brytyjskiego, więc te gwarancje są porzuceniem „nieważne, podobnie jak i inne akty rządu Chamberlaina. Nieprzemyślny artykuł w „Tribune” z dn. 14 stycznia świadczy poza wszystkim o kompletnym nieorientowaniu się w nastrojach polskich: wbrew mniemaniu „Tribune”, opór przeciwko żądaniom rosyjskim jest równie silny na prawicy jak lewicy — zarówno socjaliści jak „landlordzi” polscy dobrze pamiętają, że jak Stalin od kresów wschodnich, tak samo Hitler rozpoczynał od Sudetów przy zgodnym akompaniamentie niemal całej prasy angielskiej.

W tym chorze nie mogło, rzecz prosta, zabraknąć głosu p. Lova, którego rysunek w „Evening Standard” z dn. 6 stycznia ukazuje trzech młodołów kozackich nad granicą Polski „z r. 1939”, w rozmowie z jegośmitem, otulonym w futro i zaopatrzonym w zwitki map z napisami: „Linia Piłsudskiego”, „Linia Curzona” i t. d. Jęgodemśmitem ma wyobrazić „ducha małych narodów”.

„Po czyjej stronie jesteś? — pytają młodoły — po naszej czy po ich?” „Po swojej?” — odpowiada postać symbolizująca Polskę. Pan Low zapomniał, że tak pogardliwie traktowaną przez niego Polskę zawsze była po „naszej” stronie, natomiast młodoły przeciw zdaniu: „Niema sensu mówić o ich niepodległości, ponieważ są one rozzerwane podziałem na klasy”. „Nie może to oczywiście dotyczyć Wielkiej Brytanji, — pisze Swed, — tu niema podziału na klasy. Małe narody wiedzą przynajmniej, czego się spodziewać. Mógł Panom jednak tyle powiedzieć: w małych państwach północnych jest więcej prawdziwej demokracji niż w Wielkiej Brytanji, a kraje bałtyckie reprezentują tyż kulturę, bohaterstwa i pragnienia sprawiedliwości ile jakiegokolwiek inne państwo europejskie. Ale, jak sami Panowie przyznaliście, nie macie nie przeciwko rzuceniu państw bałtyckich na pożarcie wilkowi, jeśli strategia tego wilka skierowana jest przeciw waszemu nieprzyjacielowi”.

POLSKA — SOWIETY

„Truth” z dn. 7 stycznia stwierdza: „Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Niemcom ponieważ Hitler naruszył granice Polski. Według wszelkich zasad honoru, nasz naród zobowiązany jest do odbudowy ówczesnej Polski lub też do poparcia takich zmian, które nie zostały Polsce narzucone przez force majeure”.

„Tablet” z dn. 8 stycznia zaznacza: „Rząd brytyjski oficjalnie odmówił uznania aneksji terytorium polskiego przez Sowietów we wrześniu 1939 r. Pakt rysyjsko-polski z lipca 1941 r. zawierał wyłączenie się przez Rosjan jakiegokolwiek obszarów polskich, uzyskanych przez nich w spółce z Niemcami. Rosjanie mogą powiedzieć, że traktat ten wygasł, ale faktem pozostaje, że p. Eden wręczył wówczas obywateli Rzeczypospolitej w więzieniach i obozach.”

„Ta strona wystąpienia Tuwima obchodzi wszystkich Polaków, i to jest w niem najważniejsze. Poeta może być pewny, że trudno nam będzie zapomnieć o jego „najlepszych życzeniach”.

ZAPRASZAMY ŻOŁNIERZY POLSKICH
do odwiedzenia naszego sklepu

Wyroby skórzane i płócienne.
Ostry — Pasy wojskowe — Noże — Trzciniki — Lornetki

COGSWELL & HARRISON,
rusznikarze
168, PICCADILLY, LONDON, W.1.

Restauracja CHEZ AUGUSTE
Kuchnia francuska
Kierownictwo francuskie
38, Old Compton St., W.1, tel. GER 2655
otwarta w niedziele

A. C. MARKS
Naprawa zegarów i zegarków
106a, Finchley Road, N.W.3
(nieдалekو koleji podziemnej Finchley)

Nowoотwarta
JADŁODAJNIA POLSKA
66, New Cavendish Street, London, W.1
(naprzeciw attachatu polskiego)

Smaczne ŚNIADANIA, OBIADY I KOLACJE
Bufet obfite zawsze w polskie przekąski
Ceny umiarkowane

ARTYKUŁY PODRÓŻNE
KUFRY, WALIZKI I TORBY
kupuje, sprzedaje i wymienia
KINGSWAY TRUNK STORES
3, Sicilian Avenue, Southampton Row,
London, W.C.1 tel. HOLborn 7500

聚英酒樓
CHOY'S
CHINESE RESTAURACJA
26-28, Dean St., SOHO, London, W.1
tel.: GERard 6886
otwarta codziennie od 12-10 wiecz.
w soboty i w niedziele od 12-10.30 wiecz.

B. BOSHER & SONS
464, Edgware Road, London, W.2
tel.: PADdington 1482
Secondhand Furs for Sale
Loans on Furs and Jewellery
Special Fur Storage

Warszawski krawiec damski
F. PALMAN
przyjmuje nowe zlecenia
Wielki wybór pierwszorzędnych materiałów na kostiumy i palt
Ceny umiarkowane
52, Berwick Street, koło Oxford Street,
Oxford Circus, London, W.1
tel.: GERard 3068

UCZCIE SIĘ ANGIELSKIEGO TERAZ
Kursy elementarne i średnie, codziennie od godz. 9 rano do godz. 10 wiecz.
Specjalne kursy dla zawodowców.
Nauka wymowy dla wystąpienia publicznych.
THE LONDON SCHOOL OF ENGLISH
319, Oxford Street, W.1. tel.: MAY 2120
Nauczamy wszystkich języków.

CLIFTON HOTEL
47a, WELBECK STREET, W.1 Tel. WELbeck 6881
Pokoje ze śniadaniem i kąpielą 12/6 dziennie.
Tygodniowy pobyt na ulgowych warunkach.
Obiady codziennie 3s. od osoby. Śniadania na żądanie w pokoju.
Punkty zborny dla Polaków z prowincji.

THE POLISH FRONTIER

To the Editor of „The Times”
Sir,—Why does the B.B.C. in its bulletins on the fighting in Russia always refer to the crossing of the „1939” Polish frontier? Surely that line still remains the frontier of Poland. It was to defend it, and the other frontiers of Poland, that Great Britain pledged her word and ultimately went to war. It may be, as your leading article last Saturday suggested, that some rectification of the frontiers of Poland is desirable and justifiable, and that may be true of other occupied countries as well, but that surely must be settled at the peace conference by the United Nations as a whole. The phraseology used by the B.B.C. suggests that the question is already decided so far as Poland's eastern frontier is concerned. The settlement of the unfortunate dispute between Russia and Poland will be the first test of the sincerity of the great Powers to adhere to the principles of the Atlantic Charter, to which they have all subscribed.

L. D. GARMANS.
House of Commons.

(*) From „The Times”, January 12, 1943.

THE POLISH EASTERN FRONTIER (*)

To the Editor of „The „Sunday Times”
Sir,—When speaking of the Russian advance towards Poland, British newspapers persistently use the term „the old Polish pre-1939 Frontier.”

This would seem to imply that since 1939, Poland has had a new eastern frontier. It is not the case. The often referred to „1941 frontier” cannot by any stretch of imagination be described as a „frontier” of Poland. It was merely a demarcation line between Germany and Russia, which had its origin in the so-called „Ribbentrop-Molotov” agreement of August, 1939.

I think that the only correct and proper term to use when describing the frontier in question is to call it simply „the Polish eastern frontier”. It would be fair to the Polish sailors, soldiers and airmen who are now fighting for the common cause and for the liberation of their country.

STEFAN ŻUROWSKI.
(*) The above letter was sent to the Editor of „The Sunday Times” who did not, however, consider it sufficiently important for publication.

4 STYCZNIA 1944

Ukazała się nowa broszura Stanisława Maciejewicza (Cata) „4 Stycznia 1944 r.”. Broszura zawiera następującą treść: „4 stycznia 1944 r.”, „Deklaracja rządowa”, „Punkt 6ty deklaracji”, „Falszowanie rzeczywistości”, „Albo-albo”, „Za daleko w głąb Europy”, „Pakt sowiecko-czeski”, „Wojny domowe obywatelskie Europy”, „Rzeczy godne napiętnowania”, „Antecedencje”, „Nowe książki”.

ODCZYT PROFESORA STROŃSKIEGO

Dn. 27 stycznia, o godz. 6 pp. odbędzie się w Ognisku Polskiem (45, Belgrave Square, S.W.1) jako pierwszy z cyklu zainicjowanego przez Związek Dziennikarzy (sekcja w Londynie), odczyt prof. Stanisława Strońskiego p.t. „Na progu roku 1944”.

ODCZYT CZESŁAWA POZNAŃSKIEGO

Polskie Stowarzyszenie Kobiet z Wyższym Wykształceniem w Wielkiej Brytanji zaprasza na odczyt p. Czesława Poznańskiego „The Rights of Nations”, który odbędzie się dn. 20 stycznia o godz. 6 pp. w Ognisku Polskiem (45, Belgrave Square, S.W.1) pod przewodnictwem Miss Nesty Sanders (the Allied Women's Group). Wstęp wolny.

SPROSTOWANIE

W w. 3-in od dołu „Wiersz mazowieckiego” Jana Lechonia w nr. 172 „Wiadomości Polskich” zamiast „zmrużonej powieki” powinno być „zmrużonej powieki”.

Nowoотworzona
RESTAURACJA
20, Abbey Road, London, N.W.8
(obok koła podziemnej St. John's Wood)
poleca
swą pierwszorzędą angielską i kontynentalną kuchnię

OBIADY 2/6 KOLACJE 3/6
i à la carte — Kawa wiedeńska
(hierozmictwo wspólne z Holmfield Restaurant, Belzize Grove)

We bring life to old furs, especially Silver Foxes, however worn

NOBLE FURS
(Prop. J. Kneiblauch & Sons, Ltd.)
KUSNIERZ KRASKOWSKI
189, Regent St., London, W.1

L'ORIENT — Restauracja
56, St. Giles High Street, London, W.1
(blisko st. kol. podziemnej Tottenham Ct. Rd.)
tel. TEMple Bar 5717

OBIADY I KOLACJE po 3/-
lub à la carte
Kuchnia wschodnia i kontynentalna
Wnętrze pięknie zdobione

KAŻDY POLAK
który pragnąłby otrzymać NOWY TESTAMENT lub EWANGELIĘ sw. JANA w języku polskim
zobacz łaskawie zwrócić się do
p. S. K. HINE
110, Christchurch Road, London, S.W.2

ESPLANADE HOTEL RESTAURACJA
2, WARRINGTON CRESCENT, LONDON, W.9
tel. CUN 1052

W pokojach ciepła i zimna woda oraz telefon.
Centralne ogrzewanie. Doskonała kuchnia polsko-rosyjska
MÓWI SIĘ PO POLSKU

Redaktor: ZYGMUNT NOWAKOWSKI
Printed in Great Britain for M. I. Kolin (Publishers), Ltd., by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, E.C.2.
Published every Tuesday at 229/231, High Holborn, London, W.C.1.

MARJAN HEMAR
MARCHEWKA
pamiętnik satyryczny
cena 7s. 6d.
do nabycia: M. I. KOLIN (Publishers) LTD.
9, New Oxford Street, London, W.C.1 31a, Castle Street, Edinburgh

Granica polsko-sowiecka

Wydana pod tym tytułem broszura prof. Stanisława Grabskiego, przewodniczącego Rady Narodowej (*), odznacza się niezmierznie jasnym i logicznym ujęciem tematu, stanowiąc wzór, jak należy formułować i uzasadniać nasze słuszne prawa czy postulaty. Prof. Grabski, członek delegacji ryskiej, swego czasu przewodniczący komisji sejmowej do spraw zagranicznych, jest na uchodźstwie chyba najlepszym znawcą przedmiotu, umie go zaś przedstawić w sposób zwięzły, trafny i rzeczowy. Niektóre argumenty stanowią jak gdyby jakieś „compromis” historii, spraw etnograficznych, wyznaniowych i t.p., składających się na całość zagadnienia. W sposób szczególnie bystry i przekonywujący charakteryzuje prof. Grabski np. tę fikcję, jaką stanowi linia Curzona, będąca czystą abstrakcją.

Ważne, że w tym tytule broszura prof. Grabskiego, przewodniczącego Rady Narodowej (*), odznacza się niezmierznie jasnym i logicznym ujęciem tematu, stanowiąc wzór, jak należy formułować i uzasadniać nasze słuszne prawa czy postulaty. Prof. Grabski, członek delegacji ryskiej, swego czasu przewodniczący komisji sejmowej do spraw zagranicznych, jest na uchodźstwie chyba najlepszym znawcą przedmiotu, umie go zaś przedstawić w sposób zwięzły, trafny i rzeczowy. Niektóre argumenty stanowią jak gdyby jakieś „compromis” historii, spraw etnograficznych, wyznaniowych i t.p., składających się na całość zagadnienia. W sposób szczególnie bystry i przekonywujący charakteryzuje prof. Grabski np. tę fikcję, jaką stanowi linia Curzona, będąca czystą abstrakcją.

Qualis mutatio rerum!

Zyczenia Tuwima

Nowojorski „Tygodnik Polski” z dn. 28 listopada przedrukowuje angielski list Juliana Tuwima, przesłany z najlepszymi życzeniami do kongresu przyjaźni sowiecko-amerykańskiej, i zaopatruje go w następujący komentarz:

„Jest kwestią przenikliwości politycznej Tuwima wierzyć w rozwój demokracji pod absolutnemi rządami Stalina, zwanymi dyktaturą proletariatu. Jest kwestią jego wyobraźni politycznej przewidywać wolność i szczęście Polski „w unii lub sojuszu” ze Związkiem sowieckim. Jest kwestią jego rozumu i sumienia politycznego pojmować wszystko co się dzieje jako winę Polski, która nie zawarła przemyśla wojkowego z Rosją i przez to nie ocalała (maybe even) pokoju całego świata. To wszystko jest przedewszystkiem sprawą politycznego talentu i politycznej powagi Tuwima.

„Ale sprawą ogólniejszą i bardziej obcho-

MINISTERSTWO WYZNAŃ RELIGIJNYCH I OŚWIECENIA PUBLICZNEGO
Buckingham Palace Mansions, Buckingham Palace Road, London, S.W.1.
zawiadomienia o wydaniu podręcznika:

KS. PIOTR NOWAK
WYPISY
do nauki prawd wiary w kl. I liceum ogólnokształcącego
do nabycia w polskich księgarniach i kioskach
str. 136 cena 3/-